Lwów, Niedziela dnia 9. Lutego 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 2.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

POLITYCZNE KARJERY

Opowiadanie z naszych czasów

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Panna Sempronja już nie bardzo młoda, była zacną kobietą. Z wysokiem wykształceniem łączyła dobroć i czułość kobiecą. Każda piękna myśl znajdowała w niej najgorliwszą apostołkę i wykonawczynię, każdy człowiek czynu gościnne przyjęcie. Panna Sempronja miała jedną wielką wadę, była egzaltowaną. Odrobina egzaltacji jest konieczną dla przeprowadzenia z energją jakiej myśli, zbytek jej jest stanem chorobliwym. Na chorobę tę nie leczyła się jednak panna Sempronja wyjąwszy homeopatją, która (powiedziawszy nawiasem) także jest stanem chorobliwym. Pannę Sempronję zdolny był każdy ująć jakim jednym czynem śmiałym. Choćby powody do czynu były najbrudniejsze, choćby poźniejsze życie tego człowieka zaprzeczało, tej jednej pięknej chwili, ona nie dała się odwieść od uwielbienia dla tego człowieka, jego grzechy umiała sobie wytłumaczyć jako cnoty. Umiała tylko kochać lub nienawidzieć. Pochodziło to po części z tego, że sama szlachetna wierzyła w szlachetność innych. Pochodząc z zamożnego i dobrego domu panna Sempronja miała szeroko rozgałęzione stosunki. Wszystko co żywiej czuło, głębiej pojmowało obecne położenie, co pragnęło szczęścia narodu, gromadziło się w jej domu i to nie na próżne gawędy. Do takiego kółka wszedł tego wieczora nasz bohater. Co tam mówił i z kim mówił, nie mnie w to wchodzić, to już do historji należy. To tylko dodać muszę, że od tego czasu pan Apoloniusz dziwnie spoważniał i odmienił się.

Często bywał w domu panny Sempronji, często gdzieś wyjeżdżał, a gdy przyjeżdżał, i panny Hilarówne chórem pytały: gdzie był, co robił? On brał poważnie ojca pod rękę, odprowadzał na stronę i pytał czy kto o niego się nie dowiadywał, czy rewizji nie było w jego domu. Pan Hilary odpowiadał jak w rzeczy samej było, tj. że żywy duch nie spytał o niego; ale przytem czegoś strasznego się domyślał, w czem go utwierdzała tajemniczość pana Apoloniusza, jego dwuznaczne słowa czasem rzucane. Wszystko to kazało mu domyślać się, że pan Apoloniusz jest jakąś ważną spiskową figurą i domysł ten udzielał pod największym sekretem swoim znajomym i powinowatym. Ale jeżeli tatki dobrodzieja ciekawość tak była na pokusę wystawiona, cóż dopiero mówić o jego potomstwie? Panny w głowę zachodziły, co się panu Apoloniuszowi stało. Już go nie bawiły *dziewczęce gwary*, już stronił *od zabaw wesołych*, zapytań Gertrudy często nie słyszał, porzucał ich pierwej nim panna Pelagja mazurka skończyła. Z domysłów strasznego bolu głowy dostała panna Balbina, panna Ksawera zachorowała na brak apetytu, a panna Barbara mówiła, że w Żydzie wiecznym podobne tajemnice często przychodzą. Jednego wieczora pan Apoloniusz wpadł nagle, ojcu wręczył jakieś papiery do ukrycia, oświadczył, że dziś w domu jego będzie rewizja, że nocować w mieszkaniu swojem nie będzie. Zaalarmował dom temi słowy, wyleciał i znikł w przepaściach nocy. Panny rozdrapały z rąk ojca tajemniczy papier, chowając go w najniedostępniejsze miejsca i wyczekiwały strasznej chwili. Już druga po północy, one czuwają, lada szmer ich przeraża, nic nie ma. Pierwszy tatko nie dotrzymał placu i uciął sobie drzemkę, za tatką chrapnęła mama, powoli, powoli Morfeusz rozsiadł się na wszystkich twarzach i zamknął znużone powieki. Już dobrze słońce podnosiło się do góry i na mszę oddzwoniono, a familja szanownego pana Hilarego w najrozmaitszych grupach, niby obraz z żywych osób, spoczywała chrapiąc na rozmaity tony. Skrzyp otworzonych drzwi przebudził śpiące siostry a przebudzeniu głośny krzyk towarzyszył:

— A co? byli? — Spytał tajemniczo pan Apoloniusz.

— Nie, nie byli.

— To dziś będą.

Tak dwa tygodnie czekał i fałszywemi alarmami do tyla zmęczył panny, że pomimo obawy spały twardo jak tego ich zdrowie wymagało. W końcu po kilku tygodniach pan Apoloniusz oświadczył, że dla ważnych powodów mieszkanie zmienić musi. Możecie sobie wyobrazić lament i narzekanie płci pieknej, każda czuła się opuszczoną, każda tęskniła za ulubionym, którego jakieś tajemne losy daleko od nich porywały. Koniec końcem pan Apoloniusz się przeprowadził na owo mieszkanie, w którem go na początku niniejszej powiastki zastajemy. Zauważano, że od tego czasu pan Apoloniusz począł więcej dbać o swoją toaletę, ładnie się ubierać, ładnie mieszkał. Zkąd fundusze? Nie wiem. Do operacji finansowych nie miałem nigdy upodobania i talentu, a plotkom pokątnym wierzyć nie chcę. U panien Hilarównych bywał coraz rzadziej, a jeżeli był, to więcej z ojcem szeptał na boku dając mu jakieś despotyczne rozkazy i tajne zlecenia, które pan Hilary w prostocie ducha święcie i z uszanowaniem wykonywał. Ta uległość poczciwego mieszczana i jemu podobnych naprowadzała właśnie pana Apoloniusza na drogę zarozumiałości i despotyzmu. Innym był jednak w salonie panny Sempronji zwłaszcza w gronie dam. Damy, to była pasja pana Apoloniusza i dlatego często bywał w domu panny Sempronji. Właśnie w chwili, w której się z panem Apoloniuszem poznajemy, wybiera się tam na wieczór.

Wziął buty, obejrzał, przeszedł się kilka razy po stancji, znowu obejrzał, aż wreszcie rzekł: ujdą i począł się dalej ubierać. Szewc jak zaklęta statua Komandora nie ruszał się z miejsca, pot ocierał i czekał. Pana Apoloniusza to niecierpliwiło.

— Proszę przyjść jutro — rzekł nie-

dbale przez ramię czerniąc w lustrze brodę i wąsy.

— Ja bez pieniędzy roboty nie zostawię, panie dobrodzieju — rzekł szewc pokornie ale z silnem postanowieniem.

— Co? — krzyknął pan Apoloniusz i skoczył ku niemu — czy wiesz z kim mówisz — wiesz, że jedno moje słowo zgubić cię może?

Potomek Kilińskiego pogładził czuba i rzekł z flegmą:

— A niech sobie pan będzie i królem, ja roboty bez pieniędzy nie dam i ztąd nie odejdę, — i szukał już oczami miejsca, gdzieby się na dłuższe czekanie mógł usadowić.

Pan Apoloniusz poczerwieniał z oburzenia, że znalazł się na świecie człowiek, który mu się sprzeciwia; ale widząc nieugiętą stałość pana majstra, rad nie rad wyciągnął ostatnią dziesiątkę z pogilaresu i rzucił ją szewcowi.

— Masz, ale pamiętaj, że żaden dobrze myślący Polak u ciebie kupować nie będzie.

Szewc uśmiechnął się i chciał coś odpowiedzieć, gdy we drzwiach pokazał się młody wysoki blondyn. Szewc odszedł. Przybyły rozkrzyżował ręce.

— Polciu!—zawołał i rzucił się ku gospodarzowi (Pan Erazm był szkolnym kolegą Apoloniusza, wcześnie zbrzydły mu szkoły, porzucił je więc i wziął się do gospodarki. Lekki ale poczciwy był chłopiec). Pan Apoloniusz wyciągnął poważnie rękę i odtrącił od siebie Erazma.

— Cóż to Polciu nie poznajesz mnie?

— Owszem, ale co było — to nie jest. My teraz daleko od siebie.

— Jakto?

— Zasady rzuciły przepaść między nami.

— Ależ Polciu zawsze miałem te same co ty zasady. Razem grywaliśmy w bilard, razem po nocach przy kartach...

— Nie o tem mowa. Ty konserwatysta.

— Ja konserwatysta? Polciu przeżegnaj się — zkąd to wnosisz?

— Z twego ubioru, — rzekł patetycznie demokrata.

— Ale ubiór fraszka, zmienię łatwo.

— Zmień, a potem podam ci dłoń.

— Ależ o krój sukni na krawca, nie na mnie powinieneś się gniewać. Nam o zasady iść powinno.

— Zasada i suknia to jedno.

Erazm patrzał i nie wierzył uszom i nie wiedział czy koleżka drwi czy na serjo mówi.

Drzwi się otworzyły, weszła jakaś tajemnicza osobistość i teatralnym krokiem zbliżywszy się do naszego bohatera mruknęła pół głosem:

— Masz?

— Nie.

— Kiedy?

— Jutro.

— Godzina?

— Ósma.

— Dobrze.

I tym samym krokiem odszedł tajemniczy człowiek. Nie chcąc rozdrażniać ciekawości czytelników a szczególniej czytelniczek, odsłonię tajemnicę i powiem, że rozmowa tajemna toczyła się o jutrzejszą schadzkę, na której miano rozstrzygnąć, w której kawiarni młodzież mogłaby się zgromadzać i najprzyjemniej czas przepędzić. Narada ta podobno nie doszła do skutku, bo nie zgodzono się na obiór marszałka.

Po chwili wszedł inny młody i przyniósł jakiś pakiecik. Pan Apoloniusz rozjaśnił twarz, schował do pugilaresu i dał pokwitowanie. Potem z większym animuszem ubierać się zaczął. Erazm siedział nie wiedząc co powiedzieć i mimo woli przypatrywał się mozolnej operacji koło toalety pana Apoloniusza, która trwała parę godzin.

— Gdzież się tak stroisz Polciu? — spytał po długiej pauzie.

— Mam wizytę.

— U kogo?

— U panny Sempronji — rzekł z dumą.

— To moja kuzynka, brawo, pójdziemy razem.

— Nie mogę — twój strój skompromitowałby mnie w oczach wszystkich.

— Zgoda — to pójdziemy osobno — rzekł Erazm, który już na serjo począł wątpić o zdrowych zmysłach swego kolegi.

Gości w salonie panny Sempronji było tego dnia więcej niż zwykle; mimo tego rozmowa jakoś nie szła. Urywane słowa, nic nie znaczące ogólniki od czasu do czasu przerywały ciszę. W salonie było jakoś parno, ciężko, w powietrzu czuć było burzę, wszyscy coś przeczuwali. Koło godziny ósmej służący oznajmił pannie Sempronji przybycie jakiegoś młodego człowieka. Panna Sempronja wyszła i nie długo powróciła z młodym nieznajomym. Bladą jej twarz zarumienił teraz jakiś gorączkowy, promieniejący rumieniec, oczy błyszczały dziwnym blaskiem. Weszła i rzekła poważnie, klęcząc:

— Módlmy się o błogosławieństwo — chwila stanowcza nadeszła, jutro walka się rozpoczyna.

Wszyscy do cichej uklękli modlitwy. Pan Apoloniusz także ukląkł pobladły, przestraszony i w duszy modlił się: od nagłej a niespodziwanej śmierci, zachowaj nas Panie! Od głodu, ognia i wojny, a szczególniej od wojny zachowaj mnie Panie! Po modlitwie poczęła się żywa narada, co każdemu w obecnej chwili czynić wypada. Pan Apoloniusz jako mający mir i poważanie między mieszczanami miał zbierać składki na broń, wybrać młodych i zdatnych i poprowadzić ich. Z tem wyszedł od panny Sempronji, a po drodze klął chwilę, w której pierwszy raz przestąpił progi tego domu, klął nieszczęśliwą gwiazdę, pod którą się narodził, klął swoją polityczną karjerę. On sobie wyrozumował, że wszystko skończy się na kozie, a tu przychodzi głowę nadłożyć. Zkądże u licha taki pospiech? każdemu życie miłe, człowiek się przecie dwa razy nie rodzi. Gdyby jako odwlec można, a przez ten czas postarać się o bezpieczne schronienie w kozie. Tak, to byłoby najlepiej. Tak rozumując zaszedł do domu pana Hilarego, skinieniem przywitał panny i poszedł wprost do warstatu ojca i zabrawszy go z tamtąd do osobnego alkierzyka, zamknął drzwi i oglądając się tajemniczo szepnął mu do ucha:

— Chwila stanowcza nadeszła. Jutro zgromadź pan dobrze myślących ludzi, wieczór przyjdę.

To rzekłszy odszedł a poczciwemu panu Hilaremu łzy radości zakręciły się w oczach i pokręciwszy wąsy rzekł: „Bogu niech będą dzięki“. Czuł wielką radość, chciał je koniecznie z kim podzielić, ale tajemnica tajemnicą. Poszedł więc do córek, głaskał je po włosach, gwizdał polonezy, mazurki i zacierał ręce. Córki z zdziwieniem patrzały na to niezwykłe usposobienie ojca i domyślały się, że zapewnie pan Apoloniusz oświadczył się o którą. Niezawodnie nic innego, ale o którą?

Całą tę noc mało spał pan Apoloniusz, raz dlatego, że straszne widma odganiały sen od niego, a powtóre że układał ognistą mowę na jutrzejsze zebranie.

Na drugi dzień wieczór pan Hilary kazał córkom przyrządzić herbatę i przekąski. To je utwierdziło w domysłach, przeczuwając stanowczą chwilę wystroiły się panny i z niecierpliwością liczyły minuty. Zeszło się wiele gości, zamknięto drzwi od pokoju panien, co to znaczy? pytały. Darujcie im tę ciekawość. Ciekawość jest matką wiadomości, dla rozszerzenia więc zakresu swych wiadomości, panienki jedna po drugiej dziurką od zamku zaglądały do drugiego pokoju; ale z poważnych min, z ruszających się nóg nic a nic wymiarkować nie mogły. Po chwili wszedł pan Apoloniusz, poznały go po skrzypiących butach. Wszedł, przywitał się z każdym, potem stanął na stole począł wywijać rękami i coś mówić. Próżno panienki przykładały uszka do drzwi, nie mogły słyszeć wszystkiego, pojedyncze tylko słowa dolatywały jak: krew, wróg, strzał, szczęk itd., z tego panny nieomylny wniosek zrobiły, że pan Apoloniusz jakieś nowe wiersze deklamuje. Ale czemuż i ich tam nie ma? Nie dobry. Już wcześnie układały sobie jak go ukarzą dąsami, milczeniem.

Pragnąc aby szanowni czytelnicy czegoś więcej z owej schadzki dowiedzieć się mogli niż panny przez dziurkę od klucza, wprowadzę ich do pokoju na koniec mowy. Pan Apoloniusz był cały rumiany od kaznodziejskiego zapału, obfity pot spadał mu po twarzy, oblicza mieszczan jaśniały radością i zapałem. A gdy mowca kończył: „Za niewoli długi wiek, za cierpień naszych stek, zemsta mu chociażby kosztem krwi, morza krwi!“ Wszyscy z zapałem rzekli: pójdziemy, pójdziemy, prowadź nas choćby dziś!

— Jakto? — spytał zmięszany mowca.

— My w tobie mamy zaufanie, my z tobą pójdziemy.

— O jakże radbym obywatele, stanąć na waszem czele, — (widzimy, że nasz bohater miał jeszcze niejaką skłonność do poezji, jakby do pierwszej kochanki); ale ważne sprawy każą mi wyrzec się na teraz tego szczęścia, nakazują mi szanować życie.

— A jakaż ważniejsza sprawa jak bić? — wtrącił jeden zapaleniec.

— Wolno tobie tak mówić, obywatelu, ale nie mnie, na którego barkach cała organizacja spoczywa. Za kilka tygodni, gdy się uwolnię od tego brzemienia, zobaczycie mnie na swojem czele, a tymczasem ten was poprowadzi.

To mówiąc wskazał na stojącą przy sobie tajemniczą postać, którą mieliśmy już sposobność poznać wczoraj wieczór u pana Apoloniusza. Mieszczanie się chętnie zgodzili, mniejsza kto prowadzi, byleby iść i bić. Starszym kazano robić składkę, kobiety miały przygotowywać ładunki, skubać szarpie i szyć

bieliznę. Młodym kazano być w pogotowiu. Potem pojedynczo rozchodzić się zaczęto. Pan Hilary po odejściu gości poszedł do córek, powiedział im tajemnicę i kazał zająć się robotą. Dziewczęta zapomniały o nadziejach zamęścia, rzuciły się z pospiechem do roboty. Poczciwe nasze niewiastki. Śmieszności czasem dużo, ale grunt serca dobry. Dziś patrząc na ich gorliwe zajęcia, na ten zapał i pośpiech w pracy, wiele im darować muszę, a nawet i to, że każda w swej robocie najdelikatniesze szarpie, najcieńszą bieliznę, najładniejszą kokardę przeznaczała dla pana Apoloniusza. One wierzyły, że pójdzie, że będzie lekko ranny, że wróci jako bohater, a potem... nie, nie, nie myślmy co potem, teraz grzech o sobie myśleć. Tak marzyły panny i pracowały noc całą.

Kiedy w domu pana Hilarego takie zajęcia, nadzieje i marzenia, pan Apoloniusz sunął przez ciemne ulice ze swoim tajemniczym towarzyszem. Szli obadwaj milcząc, każdy myślał o sobie. Pan Apoloniusz kontent że na jakiś czas wywinął się od niebezpieczeństwa i niepotrzebnego narażania życia. Potem? potem, może się już wszystko skończy... Szło mu tylko o pannę Sempronję, tu była trudniejsza sprawa. Jak przekonać egzaltowaną kobietę, że on iść nie może, nie powinien? Gdyby panna Sempronia była młodsza, piękniejsza, gdyby miała jakieś nadzieje zamążpójścia, wtedy mógłby się tłumaczyć sentymentem, który mu nie pozwala oderwać się od jej widoku, wtedy możeby i panna nastawała, by został, ale panna Sempronia nie miała tych przymiotów, trzeba było coś innego wymyślić. Mądra głowa pana Apoloniusza nie długo trudziła się nad wynalezieniem środka. Umyślił do osób stojących u steru napisać obszerne doniesienie o stanie swego miasta, wystawić im w żywych kolorach żywioły tamujące rozwój sprawy, obojętność arystokracji, potrzebę silnej i potężnej presji w mieście by z niego możebne korzyści wyciągnąć dla obecnej chwili, w końcu napomykał o swoich zasługach, o stosunkach w mieście, w któreby nowy człowiek nie prędko wejść potrafił. Jednem słowem chciał jakiegoś urzędziku w mieście, gdzie tysiąc razy więcej może być pożytecznym narodowi niż na polu sławy. Ufał w skuteczność swego listu, miał bowiem znajomość z osobami wysoko położonemi w organizacji; a wtedy miałby mocny puklerz przeciw natarczywym wezwaniom panny Sempronji.

Takie myśli snuł sobie pan Apoloniusz, ale je głęboko chował na dnie duszy przed swoim towarzyszem. Głośno zaś mówił z ubolewaniem, że najmilej byłoby mu iść i zginąć; ale niestety nie może, że jarzmo obowiązków jego ciężkie itd. Towarzysz jego ubolewał nad tem położeniem, ale w duszy także sobie mały monolog prowadził.

Mój Boże, myślał sobie, szczęśliwy ten Apoloniusz, zostaje sobie w bezpiecznem miejscu, kto wie, jaki go świetny los czeka. A mnie tam czeka głód, niewczas i ołowiana kula. Na tę myśl zamknął oczy, by nie widzieć groźnego niebezpieczeństwa i w końcu rzekł z determinacją: pal djabli.

— Co ci? — spytał pan Apoloniusz.

— Eh, nic, tak sobie, zimno mi i głodno trochę.

— Chodźmy na kolację — rzekł protekcjonalnie Apoloniusz i weszli do restauracji. I jedząc bifsztek i pijąc piwo poglądali poważnie, ponuro w około. (C. d. n.)

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

IV.

Na Wielkanoc nie powróciłem do domu, bo blizki egzamin maturitatis stanął temu na przeszkodzie. Przytem ojciec mój życzył sobie, abym jeszcze przed rozpoczęciem roku uniwersyteckiego zdał egzamin wstępny do Szkoły Głównej, wiedział bowiem, że przez wakacje nie będzie mi się chciało pracować, i że niezawodnie zapomnę przynajmniej połowę z tego czegom się w szkołach nauczył. Pracowałem więc bardzo usilnie. Oprócz zwykłych godzin gimnazjalnych, i pracy do egzaminu maturitatis, braliśmy z Selimem jeszcze lekcje specjalne od młodego akademika, który sam niedawno do Szkoły Głównej wstąpiwszy, wiedział najlepiej czego do niej potrzeba.

Były to dla mnie czasy pamiętne, bo wtedy to runęła cała budowa moich pojęć i wyobrażeń tak mozolnie wznoszona przez księdza Ludwika, ojca i całą atmosferę naszego cichego gniazda. Młody akademik był wielki radykał pod każdym względem. Wykładając mi Historję rzymską, tak dobrze umiał przy reformach Grakchów udzielić mi swego obrzydzenia i pogardy dla wszelkiej oligarchji, że moje arcy szlacheckie przekonania rozwiały się jak dymek. Z jakąż głęboką wiarą wypowiadał naprzykład mój młody nauczyciel, że człowiek, który ma wkrótce zająć potężne i ze wszech miar wpływowe stanowisko studenta uniwersytetu, powinien być wolnym od wszelkich „przesądów“ i nie patrzyć na nic jak z politowaniem prawdziwego filozofa. W ogóle był zdania, że do rządzenia światem i do wywierania potężnego na całą ludzkość wpływu, człowiek najzdolniejszym jest między ośmnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia, później bowiem staje się zwolna idjotą, czyli konserwatystą.

O ludziach nie będących ani studentami, ani profesorami uniwersytetu, odzywał się z litością; miał jednak pewne swe ideały, które nigdy nie schodziły z jego ust. Pierwszy raz wtedy dowiedziałem się o istnieniu Moleschotta, Büchnera, dwóch uczonych, których najczęściej cytował. Trzeba było słyszeć naszego praeceptora, z jakim zapałem mówił o zdobyczach naukowych ostatnich czasów, o wielkich prawdach, które ślepa i przesądna przeszłość omijała, a które z niesłychaną odwagą najnowsi uczeni podnieśli „z pyłu zapomnienia“ i ogłosili całemu światu. Wypowiadając podobne zdania, potrząsał bujną kręconą czupryną i wypalał niesłychaną ilość papierosów, zarączając przytem, iż taką ma już do tego wprawę, że mu wszystko jedno, czy puszczać dym nosem czy ustami, i że nie ma w Warszawie człowieka, coby się tak zaciągał. Potem zwykle wstawał, nakładał płaszcz, przy którym brakowało większej połowy guzików i oświadczał, że się musi spieszyć, bo ma jeszcze dziś „maleńkie spotkańko.“ To mówiąc przymrużał w tajemniczy sposób oko i dodawał, że zbyt młody wiek mój i Mirzy nie pozwala mu udzielić nam bliższych o owem „spotkańku“ informacji, ale że później i bez jego objaśnienia zrozumiemy co to znaczy.

Przytem wszystkiem, co rodzicom naszym w młodym akademiku zapewne nie podobałoby się bardzo, miał on swoje prawdziwe dobre strony. Oto umiał dobrze sam to, czego nas uczył, a przytem był to prawdziwy fanatyk nauki. Buty nosił dziurawe, płaszcz wytarty, czapkę jak stare gniazdo, grosza nigdy nie miał przy duszy, ale myśl jego nigdy nie biegała w stronę kłopotów osobistych, biedy nędzy prawie. Żył namiętnością nauki! a o swoją osobistą dolę wcale niedbał. My z Mirzą uważaliśmy go za jakąś wyższą, nadprzyrodzoną istotę, za ocean mądrości, za niewzruszoną powagę. Wierzyliśmy święcie, że jeśli kto uratuje ludzkość w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, to niezawodnie on — ów imponujący geniusz, który zresztą i sam zapewne był tegoż zdania. Ale lgnęliśmy do jego przekonań jak na lep. Co do mnie, zachodziłem może dalej nawet niż mistrz. Było to naturalną reakcją mego dotychczasowego wychowania, a przytem rzeczywiście młody akademik otworzył mi wrota do nieznanych światów wiedzy, wobec których kółko moich pojęć, było arcy ciasnem. Olśniony temi nowemi prawdami, nie miałem czasu zbyt wiele myśli i marzeń poświęcać Hani. Z początku, zaraz po przyjeździe, nie rozstawałem się z moim ideałem. Listy jakie otrzymywałem od niej, podsycały ten ogień na ołtarzu mego serca, ale wobec oceanu idei młodego akademika, cały nasz światek wiejski, taki cichy, spokojny, począł coraz drobnieć i zmniejszać się w moich oczach, a z nim razem nie znikła wprawdzie, ale jakby zasnuła się lekką mgłą postać Hani. Co do Mirzy, ten szedł narówni ze mną drogą gwałtownych reform, a o Hani myślał tem mniej, że naprzeciw stancji naszej było okno, w którem siadywała pensjonarka Józia. Owoż Selim począł do niej wzdychać i po całych dniach poglądali na siebie z dwóch okien, jak dwa ptaki z klatek. Selim utrzymywał z niezachwianą pewnością, że „ta albo żadna.“ Nieraz bywało, położywszy się na wznak na łóżku uczy się, uczy, a potem ciska książkę na ziemię, zrywa się, chwyta mnie i krzyczy, śmiejąc się jak warjat:

— O moja Józiu! jak ja ciebie kocham!

— Idź do licha, Selimie — mówię mu.

— Ach! to ty, nie Józia — odpowiadał po frantowsku Selim, i powracał do książki.

Nakoniec nadeszły czasy egzaminów. Zdaliśmy je obaj z Selimem, i maturę i wstępny uniwersytecki bardzo pomyślnie, poczem już byliśmy wolni jak ptaki, ale trzy dni jeszcze zabawiliśmy w Warszawie. Użyliśmy tego czasu na sprawienie sobie akademickich mundurów, i na obchód uroczystości, którą nasz mistrz uważał za niezbędną, to jest na inauguracyjne upicie się we trzech, w pierwszym lepszym sklepie winnym.

Po drugiej butelce, kiedy mnie i Selimowi kręciło się już w głowie, a na policzki naszego mistrza, a obecnie kolegi, wystąpiły

*

rumieńce, nagle niezwykłe rozczulenie i skłonność do serdecznych wylewów opanowała nasze serca, mistrz zaś rzekł:

— No, wyszliście na ludzi, moje chłopaki, i świat stoi przed wami otworem. Możecie teraz bawić się, wyrzucać pieniądze, grać w paniczów, kochać się — ale ja wam powiem, że to głupstwa są. Takie życie na zewnątrz bez myśli, dla której się żyje, pracuje i walczy, to także głupstwo. Ale żeby żyć rozumnie i walczyć mądrze, potrzeba trzeźwo patrzeć na rzeczy. Co do mnie, myślę, że patrzę trzeźwo. Ja tam w nic nie wierzę, czego się sam nie dotknę, i wam radzę toż samo. Dalibóg, tyle jest dróg życia i myśli na świecie, a wszystko w takim zamęcie, że trzeba djabeł wie jakiej głowy, żeby nie zbłądzić. Ale ja trzymam się nauki i basta. Na fatałaszki mnie nie złapią — że życie jest głupie, o to nikomu butelki na łbie nie rozbiję, ale jest wiedza. Gdyby nie to, strzeliłbym sobie w łeb. Do tego, zdaniem mojem, każdy ma prawo, i zrobię to niezawodnie jak tylko w tej mierze zbankrutuję. Ale na tem się nie bankrutuje. Zawiedziesz się na wszystkiem: kochasz — oszuka cię kobieta; wierzysz — nadejdzie chwila zwątpienia, — a nad badaniem przewodu pokarmowego wymoczków, to możesz siedzieć spokojnie do śmierci i ani się obejrzysz, jak pewnego dnia zrobi ci się głupio jakoś i jakoś ciemno — a to już i kres: klepsydra, portret w illustracji, mniej więcej głupi życiorys, *finita comedia!* Potem już nic; daję wam na to słowo, moje pędraki. Możecie śmiało w żadne bzdurstwa nie wierzyć. Nauka, moje smyki, to grunt. A przytem ma to wszystko jeszcze tę dobrą stronę, że zajmując się podobnemi rzeczami, możesz śmiało chodzić w dziurawych butach i sypiać na sienniku. Nie robi ci to żadnej różnicy. Rozumiecie?

— Na zdrowie i na cześć nauki! — wykrzyknął Selim, którego oczy świeciły jak węgle.

Mistrz odrzucił ręką w górę ogromną wełnistą czuprynę, wychylił kieliszek, następnie zaciągnąwszy się dymem, puścił nosem dwa jego ogromne strumienie i mówił dalej:

— Obok nauk ścisłych — Selim, tyś już urznięty! — obok tedy nauk ścisłych, jest jeszcze filozofia i są idee. Tem się także zapełnia życie po brzegi. Ale ja wolę nauki ścisłe. Z filozofii, a zwłaszcza ilealno-realnej, to powiem wam nawet, że ja sobie drwię. To jest gadanie. Goni niby za prawdą, ale goni jak pies za własnym ogonem. A i w ogóle nie cierpię gadaniny, ja lubię fakta. Z wody sera nie wyciśniesz. Co do idei, to inna rzecz. Dla nich warto łba nadstawić — ale wy, i ojcowie wasi chodzicie głupiemi drogami. Ja wam to powiadam. Niech żyją idee!

Wychyliliśmy znowu kieliszki. Z czupryn nam się dymiło. Ciemna izba sklepowa zdała nam się ciemniejszą jeszcze; świeca na stole paliła się mdłem światłem; dym przedstawiał ryciny zawieszone na ścianach. Za oknem na podwórzu dziad śpiewał pieśń nabożną: „Święta niebieska, pani anielska!“ i w przestankach przegrywał smutną dziadowską melodję na skrzypcach. Dziwne uczucia napełniły mi piersi. Wierzyłem słowom mistrza, ale czułem, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego co może wypełnić życie. Czegoś mi brakło, jakieś tęskne uczucie owładnęło mną mimowoli — więc pod wpływem rozmarzenia, wina i chwilowej egzaltacji, ozwałem się z cicha:

— A kobieta panie! a kobieta kochająca, poświęcona czy nic w życiu nie zaważy?

Selim począł śpiewać:

Kobieta zmienna jest,
Głupi kto ufa jej!

Mistrz spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem, jak gdyby myślał o czem innem, ale wkrótce otrząsnął się i mówił:

— Oho! już pokazał koniec sentymentalnego ucha. Wiesz ty, że Selim daleko prędzej wyjdzie na ludzi niż ty. Ciebie licho porwie. Strzeż się, strzeż się, mówię ci, żeby ci w drogę nie wlazła jaka spodniczka i nie popsuła życia. Kobieta! kobieta! (tu mistrz przymrużył wedle zwyczaju oko) znam ja trochę ten towar. Nie mogę się skarżyć, dalibóg nie mogę się skarżyć. Ale wiem i to, że djabłu nie trzeba podawać palca, bo zaraz całą rękę porwie. Kobieta! miłość! całe nasze nieszczęście jest, że z głupstw robimy wielkie rzeczy. Chcesz się tem bawić, tak jak ja, to się baw, ale życia w to nie kładź. Miejcież raz rozum, i za fałszywy towar nie płaćcie dobremi pieniędzmi. Czy myślicie, że ja narzekam na kobiety? Ani mi się śni. Owszem, ja je lubię, ale nie daję się brać na plewy własnej wyobraźni. Pamiętam, kiedym się kochał raz pierwszy w niejakiej Loli, to myślałem, że naprzykład sukienka jej, to świętość, a to był perkal. Ot co. Czy ona winna, że chodziła po błocie zamiast latać po niebie — nie! to ja głupi gwałtem przyprawiałem jej skrzydła. Mężczyzna jest sobie dosyć ograniczonem zwierzęciem. Nosi jeden i drugi w sercu, Bóg wie jaki ideał, a że przytem czuje potrzebę kochać, więc spotkawszy pierwszą lepszą gąskę, mówi sobie: „to ta.“ Potem poznaje, że się mylił, i skutkiem tej małej pomyłki licho go bierze lub idjocieje na całe życie.

— Jednak przyznajesz pan — rzekłem — że mężczyzna czuje potrzebę kochania i sam zapewne czujesz tę potrzebę, tak jak i inni.

Zaledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po ustach mistrza.

— Każdej potrzebie — odparł — rozmaicie można zadość uczynić. Ja sobie radzę po swojemu. Mówiłem już, że z głupstw nie robię wielkich rzeczy. Jestem trzeźwy, dalibóg trzeźwiejszy niż teraz. Ale widziałem wielu ludzi, którym się życie porwało i poplątało jak nić dla jednej podwiki, więc powtarzam, że całego życia kłaść w to nie warto, że są rzeczy lepsze i cele wyższe, i że miłość to furda. Za zdrowie trzeźwości!

— Za zdrowie kobiet? — wykrzyknął Selim.

— Dobrze! niech będzie — odparł mistrz. — Są to przyjemne stworzenia, byle ich nie brać zbyt serjo. Za zdrowie kobiet!

— Za zdrowie Józi! — krzyknąłem trącając w kieliszek Selima.

— Czekaj! teraz na mnie kolej — odparł. — Zdrowie... zdrowie twojej Hani! jedna warta drugiej!

Zagrała we mnie krew, a z oczu sypnęły mi się iskry.

— Milcz ty Mirza! — krzyknąłem. — Nie wymawiaj mi w knajpie tego imienia.

To mówiąc rzuciłem kieliszek o ziemię aż prysnął na tysiąc części.

— Czyś oszalał! — zawołał mistrz.

Ale ja nie oszalałem wcale, tylko gniew we mnie kipiał i palił się jak płomień. Mogłem słuchać wszystkiego co o kobietach mówi mistrz, mogłem nawet sobie w tem podobać, mogłem z nich drwić narówni z innymi, ale wszystko to mogłem czynić dla tego, że nie stosowałem słów i drwinek do nikogo z moich, że mi i na myśl nawet nie przyszło, by teorja ogólna do drogich mi osób miała być stosowaną. Ale usłyszawszy imię mojej przeczystej sierotki, rzucone lekkomyślnie w tej knajpie, wśród dymu, brudów, próżnych butelek, korków i cynicznej rozmowy, sądziłem, żem usłyszał tak obrzydłe świętokradztwo, takie pokalanie i taką krzywdę wyrządzoną Haniuli, iż z gniewu straciłem prawie przytomność.

Mirza przez chwilę patrzał na mnie zdumiony, lecz potem szybko i jego twarz poczęła ciemnieć, oczy skrzyć się, na czoło wystąpiły mu węzły żył, a rysy przeciągnęły się i stały ostre jak u prawdziwego Tatara.

— Ty mi bronisz mówić, co mi się podoba — zawołał głuchym, przerywanym przez szybki oddech głosem.

Na szczęście mistrz w tej chwili wpadł między nas.

— Nie godniście mundurów, które nosicie — zawołał. — Cóż to będziecie się bili, czy za uszy się porwiecie jak szkolne żaki. Ot, filozofowie, którzy sobie szklanki o głowy rozbijają. Wstydźcie się! Wam to rozprawiać o kwestjach ogólnych. Wstydźcie się. Z walki pojęć do walki na pięście. Dalejże! a ja wam powiadam, że wnoszę toast na cześć uniwersytetów, i że jesteście trutnie, jeżeli się nie trącicie zgodnie i jeżeli zostawicie choć kroplę w kieliszkach.

Ochłonęliśmy obaj. Selim jednak, choć więcej pijany, ochłonął pierwszy.

— Przepraszam cię — rzekł miękkim głosem — jestem głupiec.

Uściskaliśmy się serdecznie i wychylili kieliszki do dna na cześć uniwersytetów. Potem mistrz zaintonował: Gaudeamus. — Przez szklanne drzwi prowadzące do sklepu, kupczyki poczęli nam się przypatrywać. Na dworze zmierzchało się. Byliśmy wszyscy pijani co się nazywa. Wesołość nasza doszła do zenitu i poczęła się zwolna załamywać. Mistrz pierwszy popadł w zadumę i po niejakim czasie rzekł:

— Wszystko to dobre, ale, razem wziąwszy, życie jest głupie. To są wszystko sztuczne środki, a co tam temu w duszy się dzieje, to inna rzecz. Jutro podobne do dziś, taż sama bieda, cztery gołe ściany, siennik, dziurawe buty i... tak bez końca. Praca i praca — a szczęście..... et! Człowiek się oszukuje jak może i zagłusza... Bywajcie zdrowi.

To mówiąc nałożył na głowę czapkę z oberwanym daszkiem, wykonał kilka mechanicznych ruchów, mających na celu zapięcie munduru na nieistniejące guziki, zapalił papierosa i machnąwszy ręką rzekł:

— No! zapłaćcie tam, bom ja goły, i bądźcie zdrowi. Możecie o mnie pamiętać, lub nie. Wszystko mi jedno. Ja tam nie jestem sentymentalny. Bądźcie zdrowi, moje poczciwe chłopaki...

Ostatnie słowa wyrzekł głosem wzruszonym i miękkim, jakby na przekór oświadczeniu, że nie jest sentymentalny. Biedne serce

potrzebowało i było zdolne kochać, tak jak i każde inne, ale niedola od lat dziecinnych, ubóstwo i obojętność ludzka nauczyły je zamykać się w sobie. Była to dusza dumna, choć gorąca, więc pełna zawsze obawy, by jej nie odepchnięto, gdy się ku komuś pierwsza zbyt serdecznie pochyli.

Zostaliśmy przez chwilę sami i pod wpływem jakiegoś smutku. Były to może smutne przeczucia, bo biednego mistrza naszego nie mieliśmy już więcej widzieć w życiu. Ani on sam, ani my nie domyślaliśmy się, że w jego piersiach tkwiły już oddawna zarody śmiertelnej choroby, na którą nie było ratunku. Bieda, zbytnie wysilenie, praca gorączkowa nad książkami, bezsenne noce i głód przyśpieszyły rozwiązanie. W jesieni, na początku października, mistrz nasz umarł na suchoty. Za trumną jego niewielu nawet szło kolegów, bo były to wakacje, i tylko matka biedna, przekupka święconych obrazków i świec woskowych z pod dominikańskiego kościoła, zawodziła głośno za synem, którego często nie rozumiała za życia, ale którego, jako zwyczajnie matka, kochała.

V.

Na drugi dzień po owej naszej pijatyce, przyszły konie od starego Mirzy z Chorzel i obaj z Selimem ruszyliśmy rankiem do domów. Mieliśmy opętane dwie doby jazdy przed sobą, to też zerwaliśmy się o świcie. W kamienicy naszej spało wszystko jeszcze, tylko w oficynie naprzeciwko błysnęła w oknie wśród kwiatów gieranium, laków i fuksyi twarzyczka pensjonarki Józi. Selim nadziawszy na siebie torbę podróżną i akademicką czapkę, stanął w oknie gotowy już do drogi, aby dać poznać, że wyjeżdża, na co odpowiedziano mu z pośród geranium melancholijnem wejrzeniem. Ale gdy jedną rękę położył na sercu, a drugą przesłał całusa, twarzyczka pomiędzy kwiatami zarumieniła się i cofnęła szybko w mroczną głąb' pokoju. Na dole, na bruku podwórzowym, zaturkotała bryczka zaprzężona w cztery dzielne konie; czas było się żegnać i siadać, ale Selim czekał i stał uporczywie w oknie, czekając czy jeszcze czego nie dojrzy. Nadzieja jednak go zawiodła i okienko pozostało puste. Dopiero gdy zeszliśmy na dół, przechodząc koło ciemnej sieni w oficynie, ujrzeliśmy na schodach dwie białe pończoszki, orzechową sukienkę, pochylony biuścik i dwóje jasnych oczu przysłoniętych ręką, wpatrujących się z pomroki w jasność dzienną. Mirza wpadł natychmiast do sieni, ja zaś siadłszy na bryczkę stojącą tuż obok niej, usłyszałem jakieś szepty i pewne odgłosy, bardzo podobne do odgłosów pocałunków. Poczem wyszedł Mirza zarumieniony, pół śmiejący się, pół wzruszony i usiadł obok mnie. Woźnica zaciął konie, mimowoli obaj z Mirzą spojrzeliśmy w okienko, twarzyczka Józi znowu świeciła między kwiatkami, chwila jeszcze: wysunęła się rączka z białą chustką; jeszcze jeden znak pożegnalny i bryczka wytoczyła się na ulicę, uwożąc mnie i śliczny ideał biednej Józi.

Ranek był wczesny bardzo; miasto jeszcze spało; różowe światło zorzy biegało po oknach uśpionych kamienic, gdzieniegdzie tylko ranny ptaszek, przechodzień budził krokami uśpione echo; gdzieniegdzie stróż zamiatał ulicę; czasem zaturkotał wózek z warzywem ciągnący ze wsi na targ miejski. Zresztą cicho było a jasno, a powietrzno, a rzeźwo, jako zwyczajnie w letnim poranku. Maleńka bryczuszka nasza, zaprzężona w cztery bachmaty, podskakiwała na bruku jak ciągnięty na sznurku orzeszek. Wkrótce oblał nasze twarze rzeźwy i chłodny powiew rzeki, zatętniał most pod kopytami koni, i po pół godzinnej jeździe byliśmy za rogatkami wśród pól obszernych i zbóż i lasów.

Szeroko piersi nasze oddychały przepysznem powietrzem poranku, a oczy pasły się okolicą. Ziemia budziła się ze snu; perlista rosa wisiała na mokrych liściach drzew i lśniła na kłosach zbóż wszelakich. W żywopłotach kręciły się wesoło ptaszki gwarnym świegotem i ćwirkaniem witając dzień śliczny. Lasy i łąki wywijały się ze mgły porannej niby z pieluch; tu i owdzie na łąkach lśniła woda, po której wśród złotych kwiatów kaczeńcu brodziły bociany. Różowe dymy wychodziły prosto w górę z kominów chat wiejskich, lekki wiatr naginał falą żółte łany dojrzałego żyta i strząsał z nich wilgoć nocną. Radość rozlana była wszędzie; zdawało się, że wszystko budzi się, żyje, i że cała okolica śpiewa:

Kiedy ranne wstają zorze
Tobie ziemia, tobie morze...

Co działo się naówczas i w naszych sercach, łatwo zrozumie każdy, gdy przypomni sobie, jak za młodych lat swych wracał w taki cudny poranek letni do domu. Lata dzieciństwa i zależności szkolnej były już po za nami, rozległ się szeroko wiek młodzieńczy niby step bujny a pełen kwiatów, o nieskończonym widnokręgu: ciekawa a nieznana kraina, do której w podróż wyruszaliśmy pod dobrą wróżbą; młodzi, silni, prawie ze skrzydłami u ramion jakby orlęta. Ze wszystkich skarbów na świecie największym skarbem jest młodość, a z tego skarbu nie wydaliśmy jeszcze przy całem bogactwie jego ani grosza.

Drogę odbywaliśmy szybko, bo na wszystkich głównych przestankach czekały na nas rozstawne konie. Drugiego dnia, po całonocnej jeździe, nad wieczorem, wyjechawszy z lasu ujrzeliśmy Chorzele, a raczej śpiczasty szczyt domowego minaretu, świecący w blaskach zachodzącego słońca. Wkrótce wjechaliśmy na groblę wysadzaną wierzbami i ligustrem, po obu stronach której leżały dwa ogromne stawy z młynami i tartakami. Przeprowadzało nas senne grzechotanie żab, pławiących się po zarosłych trawą brzegach w ogrzanej dziennym upałem wodzie. Znać było, że dzień kłonił się ku spoczynkowi. Grodlą wracały do zabudowań folwarcznych stada bydła i owiec osłoniętych tumanami kurzu. Tu i owdzie gromadki ludzi z sierpami, kosami i grabiami na ramionach, dążyły do domów przyśpiewując sobie: „dana oj dana!“ Poczciwi ci ludzie zatrzymywali bryczkę, całując po rękach i witając serdecznie Selima. Wkrótce słońce pochyliło się jeszcze bardziej ku zachodowi i ukryło do połowy swą jasną tarczę za trzcinami. Tylko złocista szeroka taśma światła odbijała się jeszcze środkiem stawów, po brzegach których drzewa przeglądały się w gładkiej toni. Skręciliśmy trochę na prawo, i wnet, wśród lip, topoli, świerków i jesionów błysnęły białe ściany chorzelskiego dworu. Na podwórzu ozwał się dzwonek zwołujący ludzi na wieczerzę, a jednocześnie z minaretowej wieżyczki ozwał się smętny a śpiewny głos domowego muezina, zwiastujący, że noc gwiaździsta spada z nieba na ziemię, i że Allah jest wielki. Jakby do wtóru jeszcze muezinowi, bocian stojący nakształt etruskiego dzbana, w gnieździe umieszczonem na szczycie drzewa po nad dachem dworu, wyszedł na chwilę z posągowego spokoju, podniósł dziób niby miedzianą włócznię do nieba, potem spuścił ją na pierś i zaklekotał, kiwając głową jakby na powitanie. Spojrzałem na Selima. Miał łzy w oczach, a wejrzenie jego świeciło nieporównaną właściwą tylko jemu slodyczą. Wjechaliśmy na dziedziniec.

Przed oszklonym gankiem siedział stary Mirza i pociągając błękitny dym z cybucha, poglądał radosnem okiem na to ciche i pracowite życie, rojące się na onym wdzięcznym krajobrazie. Ujrzawszy swego chłopaka, zerwał się żywo z miejsca, chwycił go w ramiona, i począł długo przyciskać do piersi, bo choć surowy był dla syna, ale kochał go nad wszystko. Zaraz wypytał go o egzamina, poczem nowe nastąpiły uściski. Zbiegła się i cała liczna służba witać panicza, psy skakały radośnie w okół niego. Z ganku wypadła pędem chowana wilczyca, faworytka starego Mirzy. „Zuła! Zuła!“ zawołał na nią Selim, a ona skoczyła mu ogromnemi łapami na ramiona, polizała go po twarzy, a potem poczęła obiegać jak szalona naokoło, skowycząc i pokazując z radości sztraszliwe zęby.

Weszliśmy następnie do sali jadalnej. Poglądałem na Chorzele i na wszystko co się w nich znajdowało, jak człowiek, który pragnie odnowienia. Nie zmieniło się w nich nic; portrety przodków Selima: rotmistrzów, chorążych, wisiały jak i dawniej na ścianach. Straszliwy Mirza, pułkownik petyhorski z czasów Sobieskiego, spoglądał na mnie tak jak i dawniej skośnemi, złowrogiemi oczyma, ale pocięte szablami jego oblicze wydało mi się jeszcze szpetniejsze i bardziej straszne. Najbardziej zmienił się Mirza, ojciec Selima. Czupryna z czarnej stała mu się szpakowata, bujny wąs zbielał prawie zupełnie, a typ tatarski przebijał w rysach coraz wyraźniej. Ach! jakaż różnica była między starym Mirzą a Selimem, między tem obliczem kościstem, surowem, srogiem nawet, a tą twarzą poprostu anielską, podobną do kwiatu, świeżą i słodką. Ale też trudno mi istotnie opisać miłość, z jąką stary spoglądał na chłopaka, i z jaką wodził oczyma za każdym jego ruchem. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

I na temat wysokości mojej osoby począ długo i szeroko rozprawiać pan poczmistrz. Rozumiałem, że wszystko to zmierza do tego, abym powiedział kto jestem. Żeby tedy przerwać litanję banalnych komplementów, wyjąłem mój angielski paszport i mu podałem. Wziął go, popatrzał, przybliżył do lampy, obrócił na drugą stronę,

znowu popatrzał i wreszcie oddając mi rzecze: „Aha, widzę, pan jesteś Grekiem."

Dziwnie ciekawi są Moskale, zupełnie jak ludy dzikie. Z narodów europejskich z pewnością pod względem ciekawości trzymają oni pierwszeństwo. I ciekawość ich nie jest bynajmniej tem płochem zajęciem się, jakie zdradza od wieków płeć piękna na widok nieznanej jej rzeczy. W ciekawości Moskala przebija policjant. Moskal nigdy nie interesuje się jakąś rzeczą, jakiemś zjawiskiem, chociażby niewiedzieć jak było ono zagadkowem; natomiast zawsze ciekaw jest osoby, to jest znaczenia i stanowiska człowieka. Pragnąłby zaraz znać *curiculum vitae* wszystkich tych, z którymi się spotyka w życiu. To też nigdzie instytucja paszportów nie jest tak dobrze przez ogół widziana jak w Rosji i z pewnością, gdyby jej nie wynalazły rzeczypospolite włoskie, toby ją Moskale stworzyli.

Na jednej z następnych stacji spotkał się Burnaby z jenerałem Krzyżanowskim, Polakiem, ktory zaprzedał się rządowi, przeszedł na prawosławie, szybko awansował w hierarchji *czynów* (stopni urzędniczych) i z prostego policjanta dosłużył się do jenerał gubernatora Orenburgskiej gubernji. Pan jenerał Kryżanowskyj — bo ze zmianą religji zmienił i nazwisko na ład moskiewski — oświadczył natychmiast Burnabyemu, że projekt jego udania się do Chiwy ma bardzo w podejrzeniu. — Radzę jednak panu nie zapuszczać się zbyt daleko w głąb Azji — dodał po chwili — bo kto wie, jakie nieszczęście może pana spotkać. Pan języków wschodnich nie posiadasz, a znajomość rosyjskiego nie wystarcza.

— Ah! to niepospolitą jenerale posiadasz zdolność przenikania ludzi, jeżeliś odgadł, że posiadam język rosyjski.

Trzeba bowiem wiedzieć, że prowadziliśmy rozmowę w języku francuskim, i że wobec jenerała nie miałem jeszcze sposobności wypowiedzieć ani słowa po moskiewsku. Widocznie więc jenerał otrzymał już telegrafem wiadomość o mojej podróży, ze wszystkiemi szczegółami dotyczącemi mojej osoby i z odpowiednią instrukcją. Zdetonował się też nieco, gdy mu dałem poznać, że odgadłem jakie jest źródło jego przenikliwości i sprowadził rozmowę na inny temat.

W parę dni potem Burnaby przybył do Orenburga, miasta gubernialnego, położonego mniej więcej na połowie drogi pomiędzy Samarą a Orskiem. Orenburg do niedawna był głównym centrem i strategiczną podstawą wszystkich ekspedycji moskiewskich w głąb Azji. Od czasu jednak zdobycia Taszkientu stracił na znaczeniu pod względem militarnym, za to jednak zarobił pod względem handlowym. Stał się bowiem punktem zbornym całego handlu Azji środkowej z Rosją. Również i pod względem politycznym nabrał znaczenia, zwłaszcza gdy Moskale nabrali przekonania, że samemi operacjami militarnemi, budową na stepach fortów i osadzania w nich załóg kozaczych, nie zdołają utrwalić swego panowania. Założyli tedy w Orenburgu biuro centralne dla kolonizacji podbitych ziem i szkołę języków wschodnich. Biuro to obowiązane jest rozdawać darmo ziemię na tych niezmierzonych obszarach Azji środkowej kolonistom moskiewskim, ziemie, których pierwotni właściciele albo zostali wyrznięci przez Moskali, albo też ustępując przed nimi coraz głębiej i głębiej, wkroczyli wreszcie na terytorjum Niebieskiego Państwa i stali się pastwą Chińczyków. W jakim stosunku pod wpływem tej cywilizacyjnej misji Moskali zmniejszyła się ludność tych krajów, można powziąć z tego wyobrażenie, że w jednej *obłasti* przedtem liczono 2,500.000 tuziemców, a dzisiaj liczą zaledwie 132.000. Właśnie ze względu na potrzebę rządzenia temi resztkami czy raczej niedobitkami tuziemców, założyli Moskale w Orenburgu szkołę języków wschodnich, w której kształcą przyszłych *isprawników* (naczelników powiatowych) i poborców podatkowych dla Azji środkowej.

W Orenburgu zabawił Burnaby dni kilka raz dla tego, że potrzebował ułożyć sobie marszrutę do dalszej podróży, powtóre, że musiał odnowić swe zapasy i nająć służącego biegłego w językach wschodnich. Zaledwie jednak stanął w hotelu, poczuł natychmiast niedźwiedzią łapę opieki moskiewskiej. Zaaresztowała go policja.

— Dokąd pan jedziesz? — zapytał go dyrektor policji.

— Do Chiwy.

— To niemożebne. Mamy surowy nakaz zabraniać cudzoziemcom podróżowania w głąb Azji.

— Ależ mam pozwolenie od ministra wojny.

— To niepodobna. W tem musi być jakieś nieporozumienie.

I zabrał odemnie dyrektor policji reskrypt ministerjalny, udał się z nim do kancelarji gubernatorskiej i dopiero po konferencji z zastępcą jen. Kryżanowskiego, który potenczas był na urlopie, zwrócił mi reskrypt z tysiącznemi przeprosinami i z uwolnieniem mnie od aresztu.

— A nie mógłby mi pan powiedzieć, którędy prowadzi najlepsza i najbezpieczniejsza droga do Chiwy? — zapytałem dyrektora policji, ujęty jego niesłychaną grzecznością.

— Tego nie mogę służyć panu. My nigdy do Chiwy nie podróżujemy, bo to bardzo... bardzo niebezpieczne. Na prawdę, jak pana szczerze kocham, nie radzę panu narażać się na takie ryzyko.

No, myślę sobie, usłyszawszy taką samą odpowiedź także od kilku wyższych oficerów moskiewskich, których poznałem w sali restauracyjnej mojego hotelu, albo wy wszyscy jesteście tak naiwni, że myślicie mnie zdurzyć waszemi kłamstwami, albo też macie mnie za tak ograniczonego, iż potrafię uwierzyć w to, że nie znacie drogi do Chiwy. Ale z dzieła Macgahan'a wiedziałem, że mieszka w Orenburgu pewien uczony Tatar, imieniem Bekczuryn, profesor w szkole języków wschodnich. Macgahan bardzo przychylnie o nim wspomina. Postanowiłem tedy udać się do niego.

P. Bekczuryn przyjął mnie bardzo grzecznie, a gdy usłyszał, że chcę jechać do Chiwy, zrobił tak wielkie oczy, jak tylko dozwalały mu na to jego wąskie tatarskie oczodoły. I chcesz pan, żebym mu wskazał drogę — rzekł do mnie — dobrze, ale przedewszystkiem musimy się napić herbaty. A gdy ją wniesiono, podał mi papierosa, zapalił sam drugiego i popijając mocną zieloną herbatę, którą w tych okolicach wyżej cenią nad czarną, odezwał się w te słowa: Jesteśmy w zimie, Syr Daria (Jaksartes) i Amu-Daria (Oksus) pokryte są lodem. Będziesz pan tedy musiał co najmniej 500 wiorst jechać konno po śnieżnym stepie przy 20 kilko stopniowym mrozie. Gdybyśmy byli w lecie, podróż byłaby łatwiejsza. Pojechałbyś pan ztąd do Kazali, twierdzy bardziej znanej pod nazwą Fort Nr. 1, ztamtąd udałbyś się pan rzeką do fortu Piotraleksandrowskiego, będącego naszą pierwszą twierdzą na terytorjum chiwańskiem, a ztamtąd już do Chiwy. Ale, że to zima, radzę tedy panu wrócić do Londynu i przyjechać do nas w lecie.

Kiedy jednak przedstawiłem mu, że to niepodobna i że pokonawszy już zapory o wiele większe stawiane mi przez rząd rosyjski, nie myślę się cofać przed zaporami stosunkowo mniejszemi, stawianemi mi przez przyrodę; natenczas p. Beckczuryn zgodził się dać mi instrukcję na drogę, wskazać z jakich rzeczy mam porobić zapasy i wyszukać dla mnie służącego, który oprócz języka rosyjskiego, dla komunikowania się ze mną, posiadałby także języki wschodnie, dla komunikowania się z ludami okolic, które mam zwiedzić. Wybór zapasów nie przedstawiał wiele trudności, miałem już bowiem pewną wprawę, zdobytą w wędrówkach po Afryce. Widziałem tedy jakie konserwy i w jakiej mniej więcej ilości mam wziąć dla siebie, a jakie i ile paciorek, miedzianych drutów, lusterek, błyskotek wszelakich, trzeba wziąć na prezenta dla innych. Największą trudność przedstawiało wino, które mi tuzinami butelek kazano zabrać z sobą dla częstowania oficerów moskiewskich po rozmaitych fortach, napotykanych po drodze. Tym środkiem najlepiej pan trafisz do ich serca, mówił mi poczciwy uczony tatarski.

Wyszukanie służącego, odpowiedniego wymaganiom, większą stanowiło trudność. Jeden namiętnie zażywał opium, drugi nałogowo kradł, trzeci nie był biegłym w językach, czwarty znowu miał inną wadę. Wreszcie po kilku zawodach, znalazł się tatar, który ani opiumem nie zatruwał się, ani nie kradł po nad tę normę, którą w Rosji trzeba zawsze wstawiać w budżecie na rzecz służby. Na imię mu było Nazar, i pod tem dystyngowanem imieniem, świadczącem szlachecki ród (Na-car), przedstawia się on szanownemu czytelnikowi. Jest karłem wśród Tatarów, bo ma nieco mniej niż pięć stóp wzrostu, brunet, o oczach zaledwie przeciętych, ale fizjonomji wesołej, wiecznie uśmiechniętej i nie pozbawionej pewnej dozy inteligencji. Będzie on odtąd nieodłącznym towarzyszem kapitana Burnaby'ego, a tem samem liczyć może na pewne względy czytelnika.

W ciągu tych kilka dni, które Burnaby spędził w Orenburgu, był on pewnego wieczora zaproszony na recepcją balową do Bekczuryna, gdzie oprócz mnóstwa wyższych urzędników moskiewskich poznał także zdetronizowanego przez Moskali i żyjącego na łaskawym chlebie rządu, chana Kokandu. Internowano go w Orenburgu pod ścisłym nadzorem policji; ale on, jak się zdaje, niewiele się martwił zmianą losu. Żył wygodnie, utrzymywał harem, dawał bale, pił i hulał z oficerami moskiewskimi i mało dbał o to, że nad jego ludem zaciężyła łapa niedźwiedzia północy. Utrzymywano, że posiada olbrzymie skarby. Ale Bekczuryn, który żył z nim w wielkiej przyjaźni, zapewniał Burnaby'ego, iż cały jego majątek wynosi 120,000 rubli. Miał on wprawdzie rzeczywiście olbrzymie skarby, duże skrzynie złota i srebra, ale kiedy jako jeniec opuszczał Kokand, jen. Kaufmann dał mu straż honorową pod pretekstem, że mogą go napaść w drodze jego właśni poddani, i skarby odebrać. Tymczasem straż ta składała się właśnie ze zbirów i zauszników Kaufmana. Co dalej się stało, czytelnik się domyśla. Skarby w drodze ulotniły się, część ich najmniejsza dostała się tym zbirom, nieco większa posłana została do Petersburga dla zatuszowania sprawy, a największa spoczęła w skrzyniach Kaufmanna. Wprawdzie car, gdy się dowiedział o tem, mocno się rozsierdził i chciał

pod sąd oddać Kaufmanna. Ale przekupieni przez niego ministrowie i zausznicy carscy odciągnęli cara od tego zamiaru, przedstawiając mu, że sprawa narobi wrzawy i zwróci uwagę Europy na działalność Moskali w Azji, gdy tymczasem z drugiej strony nie ma najmniejszej gwarancji, że następca Kaufmanna będzie mniej kradł od niego. Argumentacja ta trafiła do przekonania cara.

Ze 120.000 rubli żyje jednak chan Kokandu bardzo wygodnie w Orenburgu i jest uważany za Krezusa. Ale bo też Orenburg jest może najtańszem miastem na całej kuli ziemskiej. Za 4 lub 5 rubli można w nim kupić wołu, a za cielęta niemal dopłacają. Drogie i to bajecznie są jeno produkta cywilizacji zachodniej. Butelka szampańskiego, która Szampanji z pewnością nigdy nie oglądała, kosztuje kilkanaście rubli, a książki są niemal tak drogie, jak w owych czasach, kiedy ludzie jeszcze na pargaminach pisali. Za to produkta surowe i miejscowe są bajecznie tanie. Jeden tylko kraj znam, powiada Burnaby, gdzie mięso jest jeszcze tańsze, ale ludzkie. Jest to Sudan, w Afryce. Tam niewolnika taniej można kupić, niż wołu w Orenburgu.

Podróż z Orenburga do Orska, nie przedstawiała nic godnego uwagi. Step równy, bezdrzewny, latem urozmaicony nędzną roślinnością, wegetującą na gruncie gliniasto-piaszczystym, solą przesiąkniętym; w zimie pokryty całunem śnieżnym; gdzie niegdzie osady kolonistów moskiewskich, z jednej części złożone z kozaków Dońskich i Uralskich, za bunty zesłanych w te okolice; a w drugiej części ze skazanych zbrodniarzy; zresztą żadnej wsi, żadnego miasteczka, nic zgoła takiego, coby choć cokolwiek urozmaicało tę jednostajność stepu. Jak smutnie wygląda stół nakryty obrusem i na nim nic zgoła, ani sztućców, ani talerzy, ani słowem żadnej obiadowej rzeczy; niechże więc sobie czytelnik przedstawi taki stół bezgraniczny, białym pokryty obrusem, a będzie miał wyobrażenie stepu rozciągającego się od Orenburga do Orska.

Orsk zaś, ze swoimi kilku tysiącami mieszkańców, jest oazą ludzką na tej bezludnej pustyni. Tatarzy i Kirgizi dostarczają głównego kontyngensu do zaludnienia tej mieściny. Moskale są elementem napływowym, z nich się składa załoga i świat urzędniczy. W całej mieścinie znajduje się tylko jeden zajazd, pod szumnym tytułem hotelu „Carskiego Sioła", a w nim jeden podarty i krzywy bilard, na którym się ćwiczą oficerowie moskiewscy.

Na stacji pocztowej w Orsku nie znalazłem ani jednego konia; dniem wprzódy jen. Kaufmann ze swoją świtą przejeżdżał przez Orsk i zabrał pod swe powozy wszystkie konie, jakie były na stacji. Musiałem tedy szukać prywatnych koni, u Tatarów. Owoż pewien Tatar, właściciel dużej stadniny, ofiarował mi się natychmiast dostarczyć tęgiej trójki za cztery ruble. Za tę kwotę miał mnie on dowieść do następnej stacji pocztowej. Gdybym był brał pocztowe konie, tobym zaledwie połowę tego zapłacił; ale nie chciałem czasu tracić na targi i przystałem na proponowaną mi cenę. Za kwandrans miał Tatar konie przyprowadzić do zajazdu. I rzeczywiście zjawił się po kwandransie, ale sam, bez koni.

— No a cóż? Gdzież są konie? — pytam go zdumiony.

— Wybaczcie ojcze, ale mój brat, który jest moim spólnikiem, powiada, że za cztery ruble koni nie da.

— Wieleż żąda?

— Pięciu. Powiada, że droga jest zła i że...

— Dobrze, niech już będzie pięć rubli, ale zaprzęgajże natychmiast.

— Niech Bóg wam wynagrodzi ojcze, za chwilę wrócę z końmi.

Po kilku minutach otwiera drzwi nieśmiało i wsuwa się mój Tatar do izby.

— Czegoż chcesz jeszcze?

— Wybaczcie ojcze, ale mój szwagier, który jest także moim spólnikiem, powiada, że bez sześciu rubli koni nie da, bo droga...

— A masz ty jeszcze matkę?

— Mam ojcze, dziękować Bogu, zdrowa i czerstwa...

— A maszże siostrę?

— Mam aż dwie ojcze.

— Owoż ponieważ one także są niewątpliwie twojemi spólniczkami i również zażądają na swój dział dopłaty, przeto twoich koni wcale nie biorę. Możesz sobie ruszać, a ja zaczekam do jutra na konie pocztowe.

— Ojcze, zlitujcie się, to już pojadę z wami za pięć rubli.

— Powtarzam ci, że zdecydowałem się pozostać do jutra.

— To już pojadę za cztery, ojcze. Sami zgodziliście się na cztery ruble.

— Proszę cię wynoś się i nie nudź mnie.

— Dajcie już trzy ruble, ojcze. Nie gubcie biednego człowieka.

— Wynoś się, bo cię każę wyrzucić za drzwi.

— Ojcze! dwa ruble, no... tylko dwa.

— Chcesz rubla to ci dam, inaczej z tobą nie gadam.

— Dobrze ojcze, w mgnieniu oka stawię się z końmi.

I rzeczywiście się stawił z dzielną trójką. Nim jeszcze południe minęło opuściłem Orsk, który mi po sobie zostawił jedynie wspomnienie tego tak oryginalnego targu. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE

13. stycznia, Genewa.

(Święta. Rocznica powtórnego połączenia się Genewy z Szwajcarją i stosunek pierwszej do Francji. Wniosek oddzielenia kościoła od państwa. Dr. Paweł Brousse i prewencyjne więzienie. Proces Heleny Gajewskiej w Bernie. Ilość dzienników i czasopism szwajcarskich. Prasa rewolucyjna w Petersburgu. O zabójstwie Mezencewa. Ziemla i wola. List otwarty pana Agatona Gillera. Radość ze zwycięztwa republikanów we Francji).

W wilję Bożego Narodzenia miasto przedstawia bardzo ożywiony widok. Każda bowiem rodzina stosownie do swoich środków stara się na pierwszy dzień wieczorem urządzić drzewko na uciechę dzieciom lub przynajmniej obdarzyć je zabawkami i łakociami. To też pełno kupujących po magazynach zabawek dziecinnych, księgarniach, sklepach korzennych, piekarniach, cukierniach. Po ulicach snują się tłumy ludu, przed wystawami pełno widzów, a od kilku już dni muzyka wojskowa obchodzi miasto i na rozmaitych punktach zatrzymując się, grywa i zbiera następnie kolektę dla siebie. Dla ludzi niemajętnych i dla swoich członków towarzystwa muzyczne i inne urządzają wspólne dziecinne zgromadzenia, gdzie rodzice zawieszają podarki dla dzieci swoich na wspólnem jarzącem się drzewku. Zgromadzenia takie połączone są z koncertem,— a opłata od osoby pobiera się stosunkowo umiarkowana od 50 centimów do 1 franka (mniej więcej od 25 do 50 centów). Boże Narodzenie, to przedewszystkiem święto dziecinne, a Genewa lubi dzieci i troskliwie zajmuje się niemi. Zresztą święta przechodzą bardzo skromnie, niewiele się czem różniąc od dni powszednich. Do osobliwości świątecznych pierwszego dnia można chyba zaliczyć popołudniowy wielki religijny koncert w kalwińskim kościele Ŝgo Piotra za opłatą dwóch franków od osoby.

Wystrzały działowe z samego rana obwieściły miastu dzień 31. grudnia. Myślałem, że powodem tego jest zakończenie starego roku; dowiedziałem się jednak następnie, że w tym dniu miasto obchodzi rocznicę powrotu swego w 1814 r. do związku szwajcarskiego po szesnastoletniem należeniu do Francji. Pamięć tego powrotu jest uwieczniona w pięknym brązowym pomniku, postawionym w 1869 roku na południowym brzegu jeziora z lewej strony Rodanu w Ogrodzie Angielskim, niedaleko od mostu Mont-Blanc. Na wzniesionej podstawie stoją dwie niewieście postacie, ująwszy się za ręce; jedna z nich wyobraża Helwecję a druga Genewę. Pomnik ten i uroczyście obchodzona rocznica oderwania się od Francji świadczą widomie, że Genewczycy, pomimo ścisłych węzłów i sympatji, jakie łączą ich z Francuzami, wolą cieszyć się z większej wolności i samodzielności, aniżeli z honoru a nawet korzyści należenia do wielkiego narodu. Ekonomicznie bowiem Genewa więcej jest związana z Francją, aniżeli z Szwajcarją, i dzisiaj kiedy 19. stycznia ma się odbyć w całej Szwajcarji powszechne głosowanie w sprawie udzielenia lub nieudzielenia subwencji państwowej przedsiębiorstwu kolei żelaznej Gotharda, odzywają się liczne głosy, że Genewczycy głosować będą za subwencją tylko pod tym warunkiem, że przy nowej rewizji taryfy, cła nie zostaną podwyższone od strony Francji, jak się tego domagają niektóre kantony. Pod względem piśmienniczym i naukowym Genewa żywi się sokami całej Francji, a i sami Genewczycy chętnie biegną do Paryża po wawrzyny i honorarja, jak widzimy tego liczne przykłady, że wspomnę tylko powieściopisarza, Cherbuliez'a, i świeżo zmarłego dziennikarza i komedjopisarza, Marka Fournier'a. Wreszcie, zawdzięczając wielkiej francuskiej rewolucji, genewskie „gniazdo arystokratów"—jak pisał pełnomocnik francuski do Paryża—zamieniło się w społeczność, opartą na równości praw politycznych. I pomimo tego moralnego i materjalnego związku z Francją, naród genewski niechętnie wspomina owe chwile, kiedy był stracił swoją udzielność i został tylko większem kółkiem w olbrzymiej maszynie państwa, kierowanem z Paryża dyktatorjalnie. Nie widziałem tak ożywionej i wesołej Genewy jak w nocy przed Nowym Rokiem. Ciepłe kwietniowe powietrze sprzyjało bawiącym się tłumom, i gdyby nie szkaradne błoto po stopniałych śniegach, urosłyby one jeszcze bardziej olbrzymio. Najwięcej wszędzie było, dzieci, bo po nad Rodanem i wzdłuż ulicy nazwy tej rzeki rozpostarły się długim szeregiem karuzele, baraki z poliszynelami, marjonetkami, figurami woskowemi itd. Wszakże i nie same dzieci nęcono widowiskami. Były tam trzy olbrzymki, które okazywały swe wdzięki; był tam gabinet anatomiczny, do którego wpuszczano tylko osoby, mające więcej nad 18 lat. W szałasach kręciły się koła loteryjne, lśniące od różnokolorowej porcelany, kryształowego szkła i drobnych metalowych wyrobów. Jeżeli

pokręcone koło zatrzymywało się tak, że wskazówka oparła się na wprost jakiego przedmiotu, szczęśliwiec unosił z sobą ten błyskotliwy okaz. We trzech wygraliśmy cztery przedmioty: talerz, dwa kubki i słoiczek. Obliczyliśmy, że to wszystko kosztowało 1 franka i 20 centimów, zapłaciliśmy zaś za loterję 3 franki i 90 centimów. Jak widzimy, wcale zyskowny sposób sprzedawania rzeczy, któreby może inaczej jeszcze bardzo długo spoczywały na pułkach! Wzdłuż ulic tramwajowych sprzedawano na straganach owoce, cukry, zabawki dziecinne. Magazyny, lśniące od świateł, pourządzały piękne wystawy. Kawiarnie władza miejska pozwoliła niezamykać przez noc całą. Gwar, śmiechy, pisk dzieci, muzyka, świst maszyn parowych, poruszających marjonetkami, wykrzykiwania zachęcające pajaców i przekupniów, nadawały karnawałową postać poważnej Genewie. Wróciliśmy po dwunastej do domu, a jeszcze wszędzie po kawiarniach i ulicach ciżba panowała.

Nowootwierający się rok zapowiada ważne zmiany w ustroju społeczno-politycznym genewskiego narodu. Henryk Fazy przedstawił Wielkiej Radzie 20. grudnia wniosek od dzielenia kościoła od państwa pod skromną szatą wykreślenia budżetu wyznań religijnych. Wniosek ten, który zajmuje namiętnie w obecnej chwili opinję publiczną w dwóch pierwszych najważniejszych artykułach brzmi, jak następuje:

1. Wolność wyznań poręcza się. Nikt nie może być zmuszany do ponoszenia wydatków na jakiekolwiekbądź wyznanie. Państwo i gminy nie opłacają żadnego wyznania.

2. Wykonywanie i organizowanie się wyznań odbywa się na mocy prawa wolności zgromadzania się i stowarzyszania. Muszą one stosować się do ustaw ogólnych i przepisów policyjnych we względzie zewnętrznego obchodu. Mogą — za zgodą Wielkiej Rady, organizować się w fundacje i w tym tytule przyjmować dary i zapisy, lecz w żadnym razie nie mogą posiadać innych nieruchomości jak tylko świątynie i kościoły.

Lenoi, który gorąco przemawiał w Wielkiej Radzie za wnioskiem, przemowę swoją kończył następującemi wyrazy:

„Godną byłoby rzeczą tej genewskiej ojczyzny, która dała przytułek tylu prześladowanym za sprawę religijną, ażeby ich potomkowie pierwsi podnieśli sztandar zupełnej wolności wyznań. Bądźmy przekonani, że przyjmując ten wniosek, zrobimy wielki krok w tym kierunku, i że sprawa ta, wyszedłszy z Genewy, nie omieszka obiedz dokoła całej Europy.“ Uniesieni patrjotyzmem, posłowie hucznie przyklasnęli tym słowom. Wniosek odesłano do komisji, wszakże napotyka on bardzo wielu przeciwników, a zwłaszcza pomiędzy protestantami, ortodoksami i strokatolikami, ci ostatni bowiem, w razie odebrania im subwencji rządowej, prawdopodobnie straciliby tu wszelką podstawę.

Sprawa *Awangardy* nie przestaje także zajmować umysłów. Rząd federalny, widocznie podrażniony gorzkiemi wyrzutami posła Ginginsa, zaskarżył redakcję zawieszonego czasopisma przed trybunałem federalnym w Lozannie. Ponieważ dr. Brousse, wychodźca francuski z czasów komuny, przyjął na siebie całą odpowiedzialność za inkryminowane artykuły, przeto aresztowano go w Vevey w ziemi Vaud, gdzie w ostatnich czasach stale zamieszkiwał w towarzystwie znakomitego geografa, Elizeusza Réclus. Brousse ukończył wydział medyczny w Montpellier i był przez czas pewny asystentem przy katerze chemii w Bernie u profesora Szwarzenbacha. Z powodu jednak zajścia z policją, jakie miało miejsce kilka lat temu podczas obchodu rocznicy komuny, został wydalony z kantoru berneńskiego. Znany jest powszechnie z nieposzlakowanej uczciwości, co zaznaczyły niektóre szwajcarskie dzienniki, przeciwne dążnościom socjalistycznym i z zawziętej nienawiści ku wszystkiemu, co krępuje wolność ludzką. W artykułach swoich publicystycznych występuje jako skrajny zwolennik zasad Proudhon'a. Widząc w swym kraju ojczystym do strasznych rozmiarów posuniętą centralizację i jej zgubny wpływ na rozwój wolności społecznej, stanął na przeciwnym biegunie i w zapędzie swoim nie spostrzegł, że grunt realny usunął się z pod nóg jego. Jest to wreszcie wada całej anarchicznej szkoły, której ostra społeczna krytyka dzisiaj odgrywa tę samą rolę, jaką negacyjna religijno-polityczna krytyka odegrała przed wielką francuską rewolucją. Jest to taran, jak słusznie zauważał Comte, nieodbicie potrzebny do rozbijania przesądów ludzkich.

Ciekawą jest rzeczą, jak długo Brousse uwięzionym pozostawać będzie? W tym względzie gorszące wrażenia wywarł nie dawno ukończony w Bernie proces Heleny Gajewskiej. Uwięziono ją przed rokiem w Wiedniu na skargę niejakiego Wooga z Berna, jakoby dopuściła się ona oszustwa, zostawiając u niego fałszywe zamiast prawdziwych klejnotów. Po rocznem prewencyjnem więzieniu, ostateczna rozprawa wykazała jednak że zastawione klejnoty były prawdziwe, oszacowane wprawdzie za drogo, ale z nieznajomości rzeczy miejscowych złotników; oraz że Woog jest obrzydliwym lichwiarzem, który za pożyczenie 1800 franków wziął od Gajewskiej 600 procentów miesięcznie, i że w podobny sposób z wieloma już osobami postępował. Straszna niesprawiedliwość długo trwającego prewencyjnego więzienia jest aż nadto widoczna, i w tym względzie Genewa chce pójść naprzód, właśnie bowiem w ostatnich czasach przedstawiono w Wielkiej Radzie wniosek, ażeby w wypadkach zwykłych przestępstw, nie pociągających za sobą zbyt surowej kary, więzień po ośmiu dniach mógł żądać wypuszczenia go na wolność za kaucją.

Na bieżący rok zapowiedziano 518 dzienników i czasopism tygodniowych w Szwajcarji. W stosunku więc do zeszłego roku, przybywa 13 nowych pism. Jeden dziennik, *Nouvelle Gazette de Zurich*, wychodzi 12 razy na tydzień; trzy dzienniki: *Bund, Intelligenzblatt* i *Badener Fremdenliste* 7 razy na tydzień; 58 dzienników 6 razy tygodniowo; 2 czasopisma 4 razy; 53 pism 3 razy; 114 czasopism, 2 razy; 116 pism, raz. Wychodzą te czasopisma w językach: niemieckim, francuskim, włoskim i angielskim. W ostatnim języku pojawia się w Genewie co wtorek i sobotę olbrzymich rozmiarów gazeta p. t. *The Continent an Swiss Times*. Pomiędzy wymienionymi czasopismami nie zostały objęte miesięczniki i pisma rusińskie i rosyjskie, które z wyjątkiem miesięcznej gazety, *Obszczeje Dieło*, pojawiają się w odstępach nie perjodycznych.

Prasa rosyjska coraz bardziej ogranicza swoją czynność w Genewie. Dzieje się to skutkiem tego, że rewolucjoniści przenoszą działalność swoją do samej Rosji, dotąd głównie do Petersburga. Już w zaprzeszłym roku zaczęła tam wychodzić potajemna gazeta p. t. *Naczało* (początek). W zeszłym roku tak zwana „petersburgska wolna drukarnia“ puściła w świat co najmniej ze 20 broszur, większa połowa których w bardzo krótkim czasie w całości rozeszła się. Niektóre z tych broszur miałem w ręku. Wprawdzie nie bardzo ładnie wyglądają, ale druk mają czytelny. Właśnie mam przed sobą broszurkę p. t. Zabójstwo szefa żandarmów, jenerał-adjutanta Mezencewa, S. Pestersburg 1878. Na drugiej stronie okładki wyliczone są wydawnictwa wolnej drukarni. Broszura in quarto, zawiera 13 stronnic. Na ostatniej kartce po drugiej stronie znajduje się anons, że drukuje się brosrura „O sprawie w Czehrynie w 1877 r.“, a na samym dole: „Drukowano w petersburgskiej wolnej drukarni“. Broszura wyjaśnia powody zabójstwa Mezencewa, który nie tylko był okrutnym w granicach prawa, ale nawet dowolnie zmieniał sądowe wyroki. I tak w sprawie 193 oskarżonych, dwunastu skazanych przez senat na osiedlenie w Syberji, wysłano do ciężkich robót lub więzień centralnych. Wielu skazańców, jak Czernyszewski, Płotników, Popin, nie zostało uwolnionych od kary, lubo termin oznaczony wyrokiem sądowym, oddawna już minął. „Mezencewa zabiliśmy, powiada broszura, nie jako przedstawiciela pewnej zasady, nie jako szefa żandarmów, gdyż zabójstwo uważamy za środek zanadto straszny, by go używać dla demonstracji, ale jako człowieka, co popełnił cały szereg zbrodni, których mógł i nie powinien był dopuszczać się“. Mam także obecnie w ręku pierwszy numer pisma p. t. *Ziemla i wola*, który wyszedł 25. października zeszłego roku. Na czele ogłoszona prenumerata „u osób znanych publiczności“. Numer, złożony z dwóch i pół arkuszy, zawiera wstępny artykuł p. t. „Ziemla i wola“, w którym wyjaśnia stanowisko swego stronnictwa względem innych; fejleton o pogłoskach nadania konstytucji, dowodzący, że konstytucja, zdobywa się, ale nie bierze jako podarek; wiersz „U mogiły“ z powodu śmierci Mezencewa; artykuł polemiczny z powodu napaści dziennikarskich; wreszcie bardzo ciekawą korespondencję z Warszawy. W ogóle pismo jest bardzo dobrze redagowane i nawet nie najgorzej drukowane. Korespondencja z Warszawy podaje szczegółową wiadomość o aresztowaniach, które miały miejsce w sierpniu i pierwszej połowie października zeszłego roku. Wszystkich uwięzionych jest 50, rewizje zaś odbywały się w przeszło 120 miejscach.

Zapewne, doszedł do was „List otwarty“ p. Agatona Gillera, drukowany w Zurichu. Smutna i upokarzająca treść jego. Władza polska wypędziła Polaka z ziemi polskiej bez umotywowania nawet swego wyroku. A cóż na to sejm? Czyliż niczyje sumienie nie oburzyło się na ten arbitralny postępek i nie zażądało przytoczenia powodów wygnania człowieka, który przez lat ośm spokojnie mieszkał i pracował w kraju? Gdybyż zadano sobie pracę wytłumaczenia swego rozporządzenia, to powiedzielibyśmy przynajmniej z Krasickim:

> Choć przykro, trzeba cierpieć, choć boli, wybaczyć,
> Skoro tylko kto umie rzecz dobrze tłumaczyć.

Ale u nas można zjadać owce i nie tłumaczyć się z tego wcale!

Miejmy jednak nadzieję, że odmienią się czasy. Francuzi przynajmniej są mocno przekonani, że od świetnego zwycięstwa republikanów w dniu 5. stycznia przy wyborach do senatu rozpocznie się nowa era rozwoju społecznego ludzkości. Zwycięstwo to, którem ostatecznie

umocowano podstawy rzeczypospolitej, rozbudziło powszechną radość pomiędzy Francuzami. I w Genewie zamanifestowano swe radośne uczucia. Tego samego dnia, 7 stycznia, kiedy w Paryżu tysiączne tłumy z wieńcami zgromadziły się nad mogiłą naszego serdecznego przyjaciela, Raspail'a, kolonja francuska w Genewie o godzinie 8mej wieczorem urządziła pochód z pochodniami i latarniami po wszystkich ważniejszych ulicach miasta. Na czele niesiono chorągwie: helwecką, genewską i francuską. Pochodowi towarzyszyła muzyka sabaudzka, grając Marselijezę. Pieśń tę ulubioną podchwytywały tłumy i pełnym głosem wtórowały muzyce. Zwłaszcza brzmiał śpiew energicznie z ust robotników. Pochód witano okrzykami: Vive la France! Vive la republique! Tu i owdzie przy zbliżaniu się muzyki rozpalono różnokolorowe ognie bengalskie, a z licznych okien powiewały chorągwie francuskie. Przed pomnikiem powtórnego połączenia się Genewy z Szwajcarją rzucono pochodnie w jedną kupę, z której wybuchł płomienny stos, rozsypujący dokoła iskry. Vive la France! Vive la Suisse! Vive la Republique! wołały rozchodząc się tłumy. *Le Précurseur*, genewski demokratyczno-socjalistyczny organ stowarzyszeń robotniczych, z powodu tego obchodu powiada: „Zaiste, wypadek 5. stycznia nie pozostanie bez pomyślnego wpływu na losy ludów europejskich. Jestto jeden z najlepszych odwetów, które Francja mogła wyrządzić swoim wrogom, jestto najlepsza odpowiedź, którą mogła dać zapędom reakcyjnym cesarstwa niemieckiego, t. z. bismarkijazmowi".

P. S. Sumienność nakazuje mi uczynić jedno sprostowanie w poprzedniej korespondencji. Pisałem tam za dziennikami tutejszemi o niewdzięczności Brass'a, tymczasem okazało się, że Brass już kilka lat temu umarł. *B. L.*

Biała chusteczka.

Dotąd ja pomnę, jak w drobnej dłoni
Z daleka wiała,
Promienna obok promiennej skroni,
Chusteczka biała,
I żal mi gniecie serce wzburzone,
Znajdęż pociechę?
Och! kiedyż znowu ujrzę tę stronę,
Znowu tę strzechę!

Nie dla mnie twoje jasne promienie,
Słońce świetliste;
W moją mi drogę świeci wspomnienie
Przeszłości mgliste.
Więc precz z jasnością, w czasy łaskawsze
Ona przystała,
Dziś ją skryj chmuro: w mej myśli zawsze
Chusteczka biała.

Strumyk doliną mruczy wesoło,
W łożu z kamienia —
Smutek na blade osiadł mi czoło,
W ustach westchnienia.
Nie graj strumyku nutą uciechy,
Dla mnie została:
W wspomnieniu — drżąca z nad starej strzechy
Chusteczka biała.

Nie nuć skowronku piosnki uroczej,
Grajku maleńki!
Bo łzą mi zaszły dziś moje oczy,
Nie chcę piosenki.

Niechaj jej słucha, komu szczęśliwa
Gwiazda zatlała,
Dla mnie wciąż w luby szelest przygrywa
Chusteczka biała.

Nie podnoś ku mnie modry bławatku,
Swego kielicha.
Bo w mojem sercu, wesoły kwiatku,
Tęsknota cicha.
Twoja twarzyczka świeża, wiosenna,
Urocza cała —
Dla mnie z daleka wiała promienna
Chusteczka biała.

Ja was zapragnę — gdy los dozwoli
Wrócić w te strony;
Dzwoń wtedy rzeczko, spiewaj po roli
Ptaszku natchniony!
Niech kwitnie bławat, światłem uciechy
Słoneczko pała.
Kiedy mnie będzie witać z nad strzechy
Chusteczka biała.

St. Ross...ski.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

Wkrótce jednak przyszło mi w pomoc to miłosierne i podnoszące ducha usposobienie, przez które opatrzność czyni nas zdolnymi poskramiać własne cierpienia dla ulżenia niedoli bliźniego. Pod moim surowym wzrokiem, Charley zwolna zapominał o lalce i kołysce, przestawała zajmować go zabawa, i wnet żałośnie opuściwszy dolną wargę, zalał się obfitemi łzami.

— Drogi Boziu, zrób żebym nie był taki zły! — zawołał śród łkania. — Wątpię żeby rozumiał co mówił, lub do kogo się odzywał, ale twarzyczkę miał tak boleśnie skruszoną, że jeżli taki wyraz miał ów celnik biblijny, którego pamiętną modlitwę Charley tak wdzięcznie przeparafrazował, prożba jego nie mogła być odrzuconą. Chłopczyna cofnął się był w odległy kąt pokoju i płakał, zakrywając twarzyczkę rączkami.

— Mniejsza o to, Charley'u — rzekłem smutnie; — wiem, że nie chciałeś tego zrobić umyślnie.

— Ja cię chcę pokochać — łkał Charley.

— No, to chodźże do mnie nieboraku — rzekłem wyciągając ręce ku niemu; i przyszło mi na myśl, czy to nie widok podobnego grzesznika, natchnął te słowa biskupowi Tegnerowi:

„Głębie miłości, głębią odkupienia, bo miłość, odkupieniem."

Karolek przyszedł w moje objęcia, i łzy obfite wylewał na mój śnieżnej białości pułkoszulek; nareszcie, zauważył z ciężkiem westchnieniem.

— A ty mnie nie pokochasz?

Uczyniłem chętnie zadość jego żądaniu. Dotąd wierzyłem w zasadzie, że Bóg nieraz używa maluczkich i prostych, do uczenia wielkiej mądrości swojej; dzisiejsze zdarzenie było mi tego dowodem, bo gdyby nie ten chłopczyna, któż w życiu byłby mi dał zrozumieć praktycznie obowiązki pokrzywdzonego względem krzywdziciela?

Utuliłem i upieściłem Charley'a, aż wreszcie udało mi się uspokoić go i pocieszyć. Twarzyczka jego, choć zamazana łzami, obcieranemi zamorusaną rączką, piękniejsza była niż w chwilach radości lub swawoli. Patrzał w oczy moje z ufnością i powagą, a ja winszowałem sobie w duchu, żem się tak łatwo skłonił do zupełnego przebaczenia, gdy nagle Charley dowiódł mi jak niedoskonałem było to moje przebaczenie i nieudolnem poskromienie mojej rogatej natury, wzburzywszy mnie całego niewinnem powiedzeniem:

— Pocałuj i moją lalunię.

Byłem posłuszny... Uzupełniłem moje przebaczenie, ale zarazem i upokorzenie moje. Pospiesznie zamknąłem posiedzenie. Zamieniliśmy, „niech was pan Bóg błogosławi" podług wczorajszej nauki Edwardka; a potem rzuciłem się w szerokie krzesło biblijoteczne, i oddałem smutnym rozmysłom. Skutek jaki wywołał postępek Charley'a z moim bukietem, dotknął mnie doprawdy bardzo niemile. Mogłem wprawdzie wyjaśnić tę rzecz Miss Alicyi, a ona była zbyt dobrą i rozsądną kobietą, aby się obrażać śmieszną pomyłką, spowodowaną przez dziecko; ale mogłaby się rozśmiać ze mnie... Alicya rozśmiać się ze mnie? to myśl nie do zniesienia! Jak każdy młodzieniec między kolegami, byłem i ja nieraz celem szorstkiego żartu, i zniosłem to obojętnie; czyż nie było niskiem tchórzostwem lękać się tak teraz srebrnego śmiechu kobiety, któryby prawdopodobnie nikogo prócz niej samej nie miał za świadka? Ale śmiech towarzyszów to całkiem co innego niż taki śmieszek kobiecy, na który narazić się, jest jakby poniżeniem w jej szacunku. Boże! nie, tegobym nie przeniósł! W każdym razie trzeba napisać wczesną obronę. Kiedy jeszcze zajmowałem posadę korespondenta w domu handlowym, którego komisantem byłem teraz, udawało mi się nieraz, cycerońską epistołą, zawrócić jakiego upadłego klienta, dlaczegożbym nie mógł dobrze napisanym listem, odzyskać w poważaniu Miss Mayton to jakiekolwiek stanowisko, którem mógł utracić. Szybko napisałem bruljon; odczytałem, kreśliłem, mazałem i znowu czytałem; nareszcie odpisałem na czysto, i wysłałem przez wiernego Filipa. Potem spróbowałem czytać jakąś książkę, ale nadaremnie; godzin parę przemierzałem ulice ogrodu szerokimi krokami, a gdym nareszcie wrócił do swego pokoju, umysł mój burzyły myśli, pragnienia, marzenia, dotąd zupełnie mi obce. Po drodze zajrzałem do moich siostrzeńców; spali oni w postawach tak wdzięcznych, jakich dłuto i penzel jeszcze nie stworzyły. Karolek zwłaszcza miał tak rzewny wyraz, że nie mogłem oprzeć się chęci ucałowania go w jasne czółko. Niemniej jednak nie zapomniałem zrobić użytku z mego nowego klucza, i zamknąłem również drugie drzwi prowadzące do mojego pokoju.

Dzień następny był niedzielą; wierząc w obowiązującą siłę i mądrość światową trzeciego przykazania, o ile się ono odnosi do spoczynku, przyzwyczaiłem się był z łatwością, sypiać dnia tego dwie godziny dłużej niż innych. Ale odziedziczywszy wraz z sumieniem obywatela Nowej-Anglii, i nowo-angielski wstręt do ospałości, miałem zwyczaj odsiadywać za to dwie godzin dłużej w wieczór co soboty. I ostatniej, nie pominąłem tego, jak sam czytelnik mógł osądzić z obrazu moich zajęć. Jednak około piątej rano, spostrzegłem że siostrzeńcy moi nie pojmowali snać na równi ze mną prawa Mojżeszowego. Albowiem nie tylko, że już nie spali, ale już nawet kłócili się o coś, i to tak głośno, że każde słowo słyszałem. Chciałem to puścić mimo uszu, i spać dalej; gdy nagle najniespodziewaniej padło mi coś na twarz i zasłoniło oczy, a po chwili

nieprzyjemnej niepewności, poznałem że to znów jedna z tych utrapionych lalek! Była niesłychanie brudna, więc bez wątpienia Charley'a. Ale jakim sposobem mogła wpaść do zamkniętego pokoju? Spojrzałem na drzwi od chłopców, i znalazłem, że były szeroko roztwarte.

— Kto cisnął lalkę? — zawołałem surowo. Żadnej odpowiedzi.

— Czy słyszycie? — krzyknąłem.

— Co tam takiego, wujciu Harry?—z odcieniem głosu najwyszukańszej grzeczności spytał Edwardek.

— Który z was cisnął lalkę?

— Co?

— Pytam się kto rzucił tę lalkę?

— Jakto? nikt nie rzucał.

— Charley'u, ty powiedz, który z was rzucił lalką na wujcia?

— Edwardek — odrzekł Charley głosem przytłumionym, bo w tej chwili rączka braterska położyła się przemocą na jego drobnych usteczkach.

— Edwardku, dla czegoś to zrobił?

— Bo... bo... ja... dlatego... widzisz wujciu... dlatego... bo... bo Charley wpakował mi swoją lalkę do ust, i jej włosy wlazły mi do gardła, a ja nie potrzebuję w gardle takiej szkaradnej lalki, więc cisnąłem ją nazad do niego, a poręcz łóżka taka nizka, że lalka przeleciała aż do wujciowego pokoju, i już!

Wyjaśnienie to zdawało się bardzo prawdopodobne, ale nie zmniejszyło mi guza nad okiem, i całe zdarzenie tak mnie wytrzeźwiło, że o dalszem spaniu mowy być nie mogło. Przytem pozostało jeszcze niewytłómaczonem, kto i jak potrafił drzwi zamknięte od środka otworzyć? Czy może wszedł jaki złodziej? Nie; zegarek mój inne kosztowniejsze drobiazgi leżały nienaruszone.

— Edwardku, kto te drzwi otworzył?

Po chwilowem wahaniu, jakby po namyśle ktoby to mógł być? — odpowiedział.

— Ja.

— Jakim sposobem?

— A cóż? chciało nam się pić a drzwi były zamknięte, więc wyleźliśmy przez okno na dach werandy, a ztamtąd nazad wleźliśmy przez twoje.— (Tu nastąpiła mała pauza.)

— A jak to było zabawnie! i potem otworzyliśmy twoje drzwi i wrócili do siebie.

Więc odtąd będę zmuszony zamykać swoje i ich okiennice, a tu lato, takie gorąco! Ach, gdyby Helenka mogła była widzieć cudem jakim gdy jej malcy spacerowali po dachu werandy! Pomyślałem ile to w dzieciach marnuje się sprytu i pomysłowości, które im służą chyba tylko do dręczenia swoich opiekunów; nagle usłyszałem drobne kroki koło łóżka, i ujrzałem małą postać z poważną twarzyczką, która zawołała natarczywie.

— Chcę wleść do twego łóżka!

— A to po co, Charley'u?

— Bawić się z tobą; tata daje się nam bawić z sobą co niedzieli rano. Hola, Edwardku! dalej na wujcia!—Edwardek z okrzykiem zachwytu wyskoczył z łóżka, i pędził wprost do mnie. W jednej chwili obaj malcy wgramolili się na mnie, a choć powiedzianem było, że to ja mam się z niemi bawić, od razu wzięli rzecz całą w zupełnie odwrotnem znaczeniu. Dotąd, gdy kiedy tak zwana zmora napadła mnie w nocy, postacią jej byli Indjanie, zadający mi okrutne męczarnie, odtąd jednak zmieniły się moje koszemary, i na zawsze już przybrały postać tych małych, niby to niewinnych i słodkich djablątek, które mi tego rana tak do żywego dopiekły. Charley nazwał kolana moje konikiem i wlazłszy na nie, nie dał się już zrzucić, na wszystkie moje usiłowania odpowiadając tylko radosnym śmieszkiem, i dla utrzymania się na stanowisku, wpijając w moje ciało swoje ostre pazurki. Edwardek na ten widok oświadczył, że także chce konika, i wsiadł na moje piersi. Oto tak konik jedzie, objaśniał suwając się tam i nazad. Począłem rozumieć jakim sposobem mój szwagier, dawniej tak dobrze zbudowany i taki dzielny gimnastyk, stał się człowiekiem z tak chorobliwie zapadniętemi piersiami. Naraz twarzyczka Edwardka rozpromieniała jeszcze bardziej, oczka rozszerzyły się i zaświeciły. Oto tak konik bryka! — zawołał, i stanąwszy prosto, wyrzucił w górę nóżkami, i spuścił cały ciężar swoich czterdziesci kilka funtów na moje biedne płuca. Zanim mogłem przyjść do siebie i z braku tchu pod jego ciężarem, i z podziwu nad jego zuchwalstwem, miał czas powtórzyć kilka razy przyjemne to doświadczenie. Nareszcie uczucie bolu, wróciło mi przytomność umysłu i porwałem się z łóżka, w jednej chwili strząsłem z siebie mych demonicznych jeźdźców i stanąłem wolny na środku pokoju.

— Ach... ach... ach... — darł się Karolek— chcę jeździć na koniku!

— Och... och.. och... — ryczał Edwardek— Wujciu! jesteś głupi! nie kocham cię wcale!

Nie zważając bynajmniej na chęci Karolka i sąd o mnie Edwardka, ubierałem się coprędzej, dziękując Bogu za niedzielę, bez względu nawet na mój sen przerwany, tak rad byłem myśli, że pójdę do kościoła, i tam choć godzinę wolnym będę od moich prześladowców.

Przy śniadaniu wprawdzie obaj chłopcy zapraszali się do mego towarzystwa, alem się wymówił nawet bez podzięki. Być może, że wziąwszy ich z sobą, przyczyniłbym się był do wszczepienia w nich jednego z najchwalebniejszych zwyczajów religijnych, ale wątpiłem, czy nawet najsurowsza Opatrzność mogłaby uważać za mój obowiązek narażenie się na wszystkie możliwe następstwa tak bohaterskiego poświęcenia. Przy tem, kto wie? mogłem w kościele spotkać się z Miss Mayton. I lękałem się i pragnąłem tego; ale znieść nie mogłem myśli ukazania się jej po raz pierwszy od historji bukietu, w towarzystwie sprawców owej miłej przesyłki. Edwardek się opierał, a Karolek płakał, ale byłem nieugięty; jednak dla uspokojenia dzieci, wziąłem je na spacer przed nabożeństwem. W drodze, ku wielkiej radości chłopców, znaleźliśmy węża, którego laską zabiłem. Laska wprawdzie poszła przy tem na dwoje, ale przynajmniej pozostały kawałek był właśnie wystarczającym na zrobienie laseczki dla Edwardka. Wróciwszy do domu zrobiłem następujący układ z Edwardkiem, który zwykle uważany był jako głowa rodziny. Ani on, ani brat nie mieli wchodzić do mego pokoju, nie mieli się bić, zrywać kwiatów, stawiać domków z nowych książek, które porozrzucałem na stole bibljotecznym; błoto wolno im było zgartywać tylko łopatkami, a przenosić taczkami nie zaś fartuszkami i kapeluszami swojemi; nareszcie ze wszystkiemi swemi nieporozumieniami, odnosić się mieli do starego kucharza, który pozostawał przy domu. W zamian za te ustępstwa, wymógł Edwardek żem mu pozwolił pójść samemu do niedzielnej szkółki dziecięcej, pod warunkiem, że da się wprzód Małgosi porządnie umyć i ubrać. Charley sypiał codziennie od jedenastej do pierwszej; miałem więc nadzieję, że Edwardek pozbawiwszy się swego towarzysza, nie będzie miał podniety do spłatania jakiego groźniejszego figla.

Kościół w Hillkrest posiadał daleko więcej ławek, niż wymagała liczba parafian, przez wzgląd na przybywających na letnią porę gości; ale tego roku zjechało się jeszcze mało osób, i wchodząc miałem przyjemność ujrzeć, że wszystkie pary oczu zwróciły się na mnie jakby na raroga, i gdzie niegdzie odezwały się szepty.

Na dobitek mego trudnego położenia, kościelny poprowadził mnie pod sam ołtarz i wskazał mi miejsce w ławce, którą dotąd zajęła jedna tylko osoba, Miss Mayton! Naturalnie, że mnie nie poznała, zbyt była starannie wychowaną, żeby się czegoś podobnego dopuścić w kościele, a ja spędziłem dziesięć nieprzyjemnych minut, złorzecząc formom światowym. Nareszcie początek nabożeństwa zakończył moją kolizję i nie miałem książki z hymnami, w ławce nie było żadnej, więc Miss Mayton podała mi swoję. Całe jej zachowanie, wskazywało jednak, że był to tylko miłosierny uczynek, któryby tak samo względem całkiem nieznajomego wypełniła. Dla szacha perskiego nie mogłaby być więcej oziębłą. Nuta pierwszego hymnu była mi całkiem obcą; najnieszczęśliwiej w świecie błąkałem się w tenorze, podczas gdy Miss Mayton wykonywała soprano, bez potrącenia nawet o żaden dźwięk fałszywy. Kazanie było dłuższe niż te, których ja zwykle słuchałem, i parę razy schwyciłem się na gorącym uczynku myślenia wcale o czem innem. Słowem, nigdy w życiu nie wyglądałem jeszcze tak nieznacząco i nie mądrze jak właśnie dnia tego.

Wreszcie pastor doszedł do słów, „na koniec mili bracia“, a ja westchnąłem serdecznie, żebyż to już był koniec! Zdawało mi się, że całe zgromadzenie podziela to moje uczucie, bo jakiś ogólny szmer i szelest powstał za mną, gdy tylko te słowa zostały wymówione. Wkrótce jednak pomyślałem, że chyba co innego poruszało słuchaczy, bo gdy ja nie widziałem żadnego powodu do śmiechu, doszedł mnie kilkakrotnie stłumiony chichot po za mną. Nawet Miss Mayton pochyliła główkę ruchem zbyt nagłym w porównaniu z jej zwykle spokojnym wdziękiem, i sam pastor zatrzymał się zbyt długo na ostatnich słowach. Obejrzałem się na kościół, i... i ujrzałem Edwardka, wprawdzie ubranego porządnie, ale z kapeluszem na głowie, jak, wymachując na wszystkie strony swoją nową laseczką, zaglądał za czemś troskliwie do każdej ławki. Liczył paluszkiem siedzące w nich osoby i ciągle się za czemś oglądał. Nadaremnie starałem się ściągnąć jego wzrok na siebie; nareszcie znalazł kogoś ze znajomych, i uległ swemu sercu tłumacząc się głosem, który zadźwięczał wyraźnie śród ciszy przybytku:

— Szukam mego wujcia.

W tej chwili spotkał moje wejrzenie, z nagłym uśmiechem poskoczył ku mnie, i przyłożył z zaufaniem swój miękki policzek do mojej twarzy, a po całym kościele, rozbiegł się szmer znaczący. Nie wiedziałem co z sobą zrobić, co mówić, lub począć; chciałbym się był pod ziemię schować przed tym ogniem wejrzeń, który naraz skierował się ku mnie; gdy ku memu największemu zdumieniu Miss Mayton, daremnie starając się pokryć pustą wesołość, ale z wyrazem rozrzewnienia w oczach, przyciągnęła malca do siebie, i ucałowała go tkliwie. W tej samej chwili pastor wyrzekł nie bez chwilowego wahania

„Módlmy się bracia!“ Pospiesznie zgiąłem głowę, rad ze sposobności ukrycia mojej twarzy; ale gdy ukradkiem rzuciłem wzrok na przyczynę tego zamięszania, zetknął się on z oczyma Miss Mayton. Śmiała się tak gwałtownie, że niepodobnem było nie zarazić się tą wesołością; zwłaszcza żem się ucieszył serdecznie widząc w tem oznakę, że już zapomniała o fatalnej historji z bukietem.

Po błogosławieństwie Edwardek stał się przedmiotem ogólnej uwagi; skorzystałem z tego zamięszenia żeby poszepnąć Miss Alicji:

— Miss Mayton, czy pani jeszcze podziela zdanie mojej siostry co do jej dzieci.

— Ach Panie, tak są zabawne! — odpowiedziała z zapałem.—Przyprowadź mi ich pan kiedy, koniecznie. Takbym pragnęła poznać bliżej tych zajmujących młodzieńców.

— Dziękuję Pani — odrzekłem—a Charl'yowi każę zanieść piękny bukiet, jako zadośćuczynienie za jego wczorajszy występek.

— Zrób to pan — odrzekła z prostotą, w chwili gdym się usuwał na stronę, aby ją wypuścić z ławki. Słówko to było nieznaczące, ale dostateczne żeby mnie uszczęśliwić.

— Widzisz, wujciu Harry — tłumaczył się Edwardek, gdyśmy razem wychodzili z kościoła — szkółka niedzielna jeszcze nie była otwarta, a chciałem wiedzieć czy dziś znów tak ładnie śpiewają w kościele; więc wszedłem do kościoła, i zajrzałem do tatowej ławki; ale gdy ciebie tam nie znalazłem — pomyślałem sobie zaraz, że gdzieś być musisz, i zacząłem cię szukać.

— Bóg z tobą dziecko — pomyślałem porywając go na ręce jak gdyby dla zaniesienia go do niedzielnej szkółki, ale właściwie tylko, aby go uściskać z wdzięczności.—„Zrobiłeś jak było potrzeba, *właśnie* jak było potrzeba.“

Mimo, że i obiad mój niedzielny i wino mego szwagra i wszystko było zarówno wyśmienite, czułem się trochę nie swój podczas posiłku, bo na mnie to ciężyła odpowiedzialność, aby siostrzeńcy moi przepędzili dzień boży, stosując się choć w części do przepisów niedzielnych, a nie miałem pojęcia jak się wziąć do tego. Za mali na czytanie biblji, a za żywi, aby ich jakimkolwiek innym środkiem utrzymać w spokoju. Po daremnych namysłach postanowiłem na koniec od nich samych starać się dowiedzieć, jaki był w tym względzie zwyczaj ich rodziców.

— Edwardku — spytałem — co robicie w niedzielę gdy mama i tata są w domu? co tata wam czyta? o czem z wami rozmawia.“

— Oh! tata nas huśta cały dzień!—zawołał Edwardek — a oczka mu się rozpromieniły.

— I bierze nas na spacer, szukamy orzechów wodnych — dodał Charley.

— O, tak, tak! — wykrzyknął Edwardek — orzechów wodnych! Znasz je przecie?

— Hm, podobno; przypominam sobie coś takiego z mego dzieciństwa. Rosną one zwykle tam gdzie dużo błota, nieprawdaż?

— O tak! i tam jest źródełko i paprocie, i kto nieuważa to zaraz wpada w wodę.

— I tata idzie z nami na skałę — mówił dalej Charley, a gdy się pomęczymy—niesie nas na plecach.

— I robi nam świstawki — dodał Edwardek.

— Edziu — rzekłem pospiesznie, dosyć już tego. Wiesz może jak się wyraził poeta

„Tych ziemskich uciech się zrzekam“

otóż dziwi mnie, że tato nie uczył was robić tak samo. Czy wam w niedzielę nigdy nie czytuje.

— O, i owszem—zawołał Edwardek klaszcząc rękami jak gdyby go ta myśl bardzo ucieszyła. — Zdejmuje z góry biblję, wiesz tę dużą, dużą biblję, i wszyscy kładziemy się na podłodze, a on nam czyta różne powiastki. Tam jest Dawid i Józef i Noe i Jezus Chrystus, gdy był jeszcze małym chłopczykiem i *wracaj armiofaraluja.*

— I co takiego?

— Wracaj armiofaraluja—powtórzył Edwardek. — Wiesz przecie jak to Mojżesz wyciągnął swoją laskę nad Czerwone Morze, i woda podniosła się z jednej strony i z drugiej, tak że Izraelici przeszli po suchem. To właśnie zatopiło armiofaraluja — jakto, jeszcze nie wiesz?

— Edwardku — rzekłem — zgadując, że chce mówić o pieśni zaczynającej się od słów: Wracaj armio Faraona, alleluja!

— Edwardku zapewne słyszałeś Jubilee Singers.

— O mama i tata śpiewają nam wszystkie te piosenki; tam jest „Płyń Jordanie,“ i „Drogi moje chmurne,“ i „Leć dalej,“ i „Lichem skrzydłem,“ i „Do wioseł dzieci“ i jeszcze mnóstwo. I możesz nam dzisiaj wszystkie zaśpiewać.

— I tata bierze nas z sobą do lasu i robi nam laski — rzekł Charley.

— Tak — rzekł Edwardek,— a gdzie się jaki nowy dom buduje, to nam daje łazić po drabinach.

— A nie umie też przypadkiem kląść tamy obrotowi ziemi, żeby przedłużyć poobiedzie? — spytałem.

— Nie wiem co to jest — odpowiedział Edwardek,— ale kładzie dywan indyjski na trawie, i wszyscy na nim leżymy, i udajemy śpiących żołnierzy. Tylko czasem, gdy się pobudzimy, tata jeszcze śpi, a mama nie pozwala nam go budzić. Ja nie lubię takiej zabawy.

— Prawda, że powieści z biblji ładniejsze od wszystkiego? — starałem się wmówić w mego siostrzeńca.

Edwardek zdawał się trochę wątpić o tem. „Zdaje mi się, że huśtawka ładniejsza—powiedział. „Albo nie: idźmy szukać orzechów — otóż ci powiem co zrobimy! porób nam świstawki i będziemy mogli świstać na nich przez całą drogę do lasu! Charl'u, kochanie, prawda, że *chciałbyś* mieć i świstawkę i orzechy?“

— Tak, i chuśtawkę, i drabiny, i chcę iść na Skałę, – piszczał Karolek.

— Nie, nie! — zawołałem.—Najpierw przeczytajmy w biblji; Bozia by się gniewał, gdybyśmy się dziś niczego dobrego nie nauczyli.

— Ha, więc czytajmy — odpowiedział Edwardek, biorąc na twarzyczkę poważny wyraz obowiązujący przy wszelkich ćwiczeniach religijnych. — Myślę, że najlepiej będzie o Józefie.

— Powiedz nam o Goljacie — zaproponował Charley.

— O nie, nie Charl'u! — sprzeciwił się Edwardek.— Suknia Józefa tak samo była pokrwawiona jak głowa Goljata.“ Potem, obróciwszy się do mnie, wyjaśnił:— Charley dla tego tylko lubi Goljata, że gdy mu Dawid odciął głowę to się z niej krew lała.

Na to Charley — ten idealny aniołek, w którym matka spostrzegała nieprzeparty pociąg do wszystkiego co piękne — spojrzał na mnie wzrokiem jakim zapewne czeladnik rzeźniczy patrzy na skazane pod nóż jagnię, i zauważył tryumfująco:

— Z głowy Goljata krew się lała, i z miecza Dawida krew się lała, i ze wszystkiego krew się lała...

Pospiesznie zmówiłem zwykłą poobiednią modlitewkę, otworzyłem biblję i chcąc się zniżyć do umysłu moich słuchaczy, w ten sposób opowiadałem historję Józefa:

— Józef był dobrym małym chłopczykiem, bardzo kochanym przez swego tatę. Ale miał niedobrych braci, którzy go nie lubili i sprzedali do Egiptu. On był tam bardzo grzeczny, i tłumaczył wszystkim ludziom co ich sny znaczyły, i stał się wielkim człowiekiem. A raz przyszli jego bracia po zboże do Egiptu, i Józef sprzedał im trochę zboża, a potem dał się im poznać. I wysłał ich nazad do domu, żeby przywieźli swojego tatę, i potem żyli wszyscy razem w Egipcie.

— To nie to — zauważył Charley z miną człowieka, co się czuje głęboko pokrzywdzonym. „Czy to to samo, Edwardku?

— Oh, nie — rzekł wzgardliwie Edwardek. — Całkiem źle przeczytałeś wujciu Harry. Ja ci powiem jak to było:

— Raz onego czasu, był sobie mały chłopczyk co się nazywał Józef, i miał jedenastu braciszków, to strach!— I jego tata dał mu śliczną nową sukienkę, a jedenaście braciszków musiało chodzić w starych kaftanikach, bo nie mieli nowych. I raz, kiedy on im poniósł obiad na pole, oni go wzięli i rzucili do głębokiej czarnej jamy. Ale jego ślicznej sukienki nie wrzucili, tylko zabili biedne koźlątko, i włożyli sukienkę — pomyśl tylko wujciu! zrobić coś takiego ze śliczną nową sukienką! — włożyli sukienkę w krew, że aż była cała pokrwawiona!

— Cała pokrwawiona—powtórzył Charley rozkoszując się tym dźwiękiem z drapieżną powagą. Edwardek mówił dalej: — Ale szło drogą kilku Izraelitów, i tych okropnych jedenaście braciszków wyjęło Józefa z czarnej jamy, i sprzedali go tym Izraelitom, a ci go znów dalej sprzedali aż do Egiptu. A biedny jego stary tata, płakał tymczasem i płakał, bo myślał, że mu duży lew zjadł Józefa; ale jego lew nie zjadł ani trochę, tylko w Egipcie nie było ani poczty, ani *lokomotywy* co świszcze, ani nawet telegrafu, ani nic, więc Józef nie mógł dać znać o sobie swemu tacie; a tymczasem był bardzo grzeczny i mądry, tak, że mu aż król egipski dał sprzedawać wszystko zboże i pilnować pieniędzy. I raz przyszli ludzie kupować zboże, a Józef popatrzył się na nich i zobaczył, że to byli jego własni bracia! I przyjął ich jakby nie wiem co! jabym ich był wszystkich pozabijał, gdybym był Józefem, ale on tylko im sprzedał zboże i powiedział im kim był, i częstował ich, i całował i ściskał; ani ich nawet nie wybił, ani ich nie postawił do kąta — tych jedenaście braciszków — ani im za okno nie wylał śniadania, ani nic! A potem posłał ich nazad po swojego tatę, a gdy go zobaczył zdaleka, biegł do niego co miał siły, i zaraz go chwycił za szyję i uściskał ogromnie. A król dał temu tacie wielką fermę, i wszyscy byli szczęśliwi, i już.“

— I włożyli suknię do krwi, i była cała pokrwawiona — dodał Charley w formie epilogu.

— Wujciu Harry, jak ci się zdaje? — mówił Edwardek—coby mój tata zrobił, gdyby mnie jaki duży lew pożarł co do okruszynki. Mnie się zdaje, żeby musiał strasznie płakać, prawda? Teraz mów nam co innego, a ja ci powiem! czytaj nam o...

— O Goljacie bez głowy—przerwał Charley.

— Ty sam opowiedz mi o Goljacie, kiedy taką masz na niego ochotę.

*

— Dobrze, zaraz — Goljat był duży dzielny człowiek, a Dawid był mały dzielny człowiek; i Goljat powiedział: „Chodź tu do mnie niech cię zjem", a Dawid powiedział: „Nie boję się ciebie". I Dawid włożył w sznurek pięć małych kamyczków i prosił Bozi, żeby mu pomagał, i machnął sznurkiem między oczy Goljatowi, i Goljat przewrócił się i nie żył. A Dawid wziął miecz Goljata i odciął mu głowę i krew się lała naokoło, i Goljat uciekł, i ja tak kiedyś Edwardkowi zrobię jak będę duży.

Temu krótkiemu opowiadaniu towarzyszyło więcej natchnionych i niespodzianych gestów, niż ich pan Gough umieścił w najdłuższem z swoich kazań. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Darwinizm, skreślił Dr. M. Humiecki. Lwów 1878, nakładem autora (prawo przedruku zastrzeżone!)

Broszura pod powyższym tytułem wydana „w Wigilją św. Ignacego" i zwrócona w formie listów do pewnej damy, wedle zapewnienia autora posiadającej „delikatne uczucie" (str. 8), ma za cel wykazać, iż „Darwinizm jest *samogwałtem* rozumu i uczucia" (str. 29), od którego też Dr. H. (nie wiemy czy doktor medycyny) usiłuje „odwrócić oko" swojej pacjentki (str. 8 i 31). Autor nie chce się opierać na „gejologiji" i „palejontologiji" jako naukach niepewnych (str. 28) a natomiast radzi... kochać bliźniego jak siebie samego (str. 31). I trzeba przyznać, że zdania tego broni z zapałem zdolnym obudzić gorące uznanie w sercu jego pacjentki: „Zaprawdę, powiadam pani — woła on — że tą drogą *zajdziemy dalej*, aniżeli darwinizmem i jego samorodztwem"...

Co do nas, dziwimy się tylko, że autor zalecając tak gorąco wzniosłą zasadę miłości bliźniego w apostrofach do swej uczennicy, nie zastosował jej także do innych swoich bliźnich, a mianowicie darwinistów, których od *cieląt* przezywa (str. 8). W każdym razie musimy mu poczytać za zasługę, że nie pozwolił na przedruk swej rozprawy — żałujemy tylko, że nie poszedł jeszcze krok dalej na drodze miłości bliźniego i nie wstrzymał druku pierwszego wydania.

A jednak!... tak łatwo było nie pisać broszury!

Kto jest Kraszewski i co zrobił? opisał Janek Mrówka: Warszawa. Nakładem Czytelni Jana Jeleńskiego 1879. Cena kop. 5.

Do licznych wydawnictw jubileuszowych na cześć Kraszewskiego przybyła i ta broszura, wcale nie ustępująca najlepszym pod względem pożytku społecznego. Zasługa autora tem większa, że postanowił uczucia uznania dla jubilata obudzić w sercach najliczniejszej warstwy narodu, ludu wiejskiego, i że uczynił to umiejętnie w najtrudniejszych cenzuralnych warunkach. Broszura zawiera odpowiednio ułożony życiorys Kraszewskiego i treść kilku jego powieści na tle ludowem w formie przykładu, a w końcu wzmiankę o obchodach jubileuszowych. Język poprawny, gładki, a w zupełności dla ludu przystępny zaleca tę broszurkę, która i u nas w Galicji powinnaby znaleść rozpowszechnienie. Zwracamy też na nią uwagę księgarni prowincjonalnych i kolporterów wiejskich. *J. M.*

(J. B.) *Weckerlin Musiciana — wyjątki z dzieł mało znanych tyczące się muzyki i muzyków — tłumaczenie Alberta Sowińskiego. (Paryż 1878).*

P. Albert Sowiński, znany i ceniony kompozytor, autor jedynego w swoim rodzaju „Słownika muzyków polskich," wzbogacił niezbyt obfitą naszą literaturę muzyczną przekładem zajmującego dzieła Weckerlina, którego tytuł podaliśmy powyżej. Bylibyśmy w wielkim kłopocie gdyby nam kazano oznaczyć kategorję do jakiej to dzieło należy. Jest w niem mowa o wszystkiem co się muzyki dotycze, historja muzyki w krótkości zebrana, opis instrumentów od cytry do fortepianów o podwójnej klawiaturze, życiorysy słynnych kompozytorów i egzekutorów, anegdoty, filozofia muzyki, wszystko to jest pomieszczone w Musicianach. Główną zasługą autora jest to, że użytkował z dzieł i rękopisów zupełnie dla zwykłego czytelnika nieprzystępnych. Najlepszą, bo najbogatszą w materjały jest część biograficzno-anegdotyczna tego dzieła, najmniej udały się autorowi cytaty dotyczące filozofii muzyki, umiejętności jak najmniej przystępnej i zawiłej. Z „Musicianów" nie można studjować ani historji, ani filozofii muzyki, brak bowiem temu dziełu jednolitości i obmyślonego planu, mimo to jest ono niewyczerpaną kopalnią wiadomości, bez których nietylko już miłośnik muzyki, ale nawet żaden wykształcony człowiek obyć się nie może. Na zaletę „Musicianów" i to powiedzieć jeszcze należy, że pisane są lekko i przystępnie dla każdego. Polecamy to dziełko naszym miłośnikom muzyki zwracając ich uwagę na tę jeszcze okoliczność, że sędziwy tłumacz wydaje własnym swoim nakładem. Jeżeli ludzie zarabiający żmudną pracą na kawał powszedniego chleba nie szczędzą trudów i kosztów, aby tylko wzbogacić piśmiennictwo dziełem pożytecznem, o ileż bardziej ochoczo powinna światła publiczność przyjść w pomoc tym szlachetnym usiłowaniom?

Kronika tygodniowa.

Lwów dnia 7. lutego.

Wiadomo, że ostateczności lubią się spotykać z sobą; więc kiedy Lwów bawi się, wieczorkuje, baluje, redutuje (tego ostatniego pewno mu nikt nie zazdrości), drudzy strzelają sobie w serce i to dla wszelkiej pewności po dwakroć. Szczególniejsza pod tym względem strzelania, panuje opinia pomiędzy ciekawemi kucharkami we Lwowie. Jak tylko dowiedzą się, że w którymbądź domu nastąpiło samobójstwo, gromadzą się tam w znacznej liczbie, przyznając jednogłośnie, że długi tej katastrofy były przyczyną. Rzeczywiście prawie zawsze tak jest: robienie długów lichwiarskich przez młodych i niemłodych stało się już takim nałogiem jak palenie cygar, czytanie Nowej Presy, lub picie kawy na śniadanie. Przyzwyczajenie do zbytków, a zbytkiem musimy nazywać wszystko co przechodzi stan kieszeni naszej, wyrodziło maksymę życia, nie tę, żeby się bez nich obejść można, lecz tę w jakiby tu sposób pożyczyć pieniędzy. Pożycza się zatem, wciągając na poręczycieli przyjaciół i nieprzyjaciół, a gdy los swawolnik nie dopisze i nie ma zkąd oddać, długi powiększają się w zastraszający sposób i ofiara własnej lekkomyślności staje się ofiarą pierwszego lepszego Schilloka z hetmańskich wałów, duszą oddaną na nieustanne żydowskie utrapienia, gorsze od wszelkich smarzeń w smole i innych palnych substancjach. Znamy wiele zkąd inąd zdolnych, porządnych i pracowitych ludzi, którzy całe prawie życie stają się niewolnikami lichwiarzy, pracują na nich, dręczą się, nie mają dnia i godziny spokoju, a oddając wszystko co zarobić mogą swoim prześladowcom, dochodzą do takiej apatji, że samo życie staje się dla nich ciężarem.

Robimy tyle dobroczynnych instytucyj, stowarzyszeń nawet dla ochrony zwierząt, banków i tym podobnych zakładów mających zubożałą ludność podreperować w jej finansowych sprawach, czyż nie byłoby na czasie założenie nowego rodzaju zakonu Trynitarzy, którzyby podjęli się wykupywania dusz zaprzedanych w niewolę lichwiarską. Interwencja ludzi zacnych, musiałaby imponująco oddziaływać na owych posiadaczy niewolników, samym zaś niewolnikom skruszonym dać otuchę, że kres ich niedoli może się kiedyś zakończyć. Byłaby to dla tych ostatnich prawdziwa spowiedź moralna, żal za grzechy i mocne postanowienie poprawy, które znamionować zwykły zwrot ku lepszemu. Zwracamy przeto uwagę panów filantropów i dobroczyńców ludzkości, czy założenie tego rodzaju stowarzyszenia chrześcijańskiego nie byłoby na czasie... Prawda i to, że rzadko dziś spotkać już można w tym guście dobroczynnych oryginałów, jednakże bywają, skoro powstaje coraz większa ilość na różne cele fundacyi publicznych.

Lwów nasz, z dniem każdym przystraja się coraz bardziej na sposób europejski, i jest nadzieja że niedługo wyrobi i ludzi europejskich, których jako znakomitości tego rodzaju będziemy sobie palcem pokazywać. Tymczasem poprzestać musimy na tramwajach i oświetleniu elektrycznem. W tych dniach Magistrat zawarł kontrakt z pełnomocnikiem Towarzystwa Tryesteńskiego o zaprowadzenie kolei konnych, które w dniu 1. lipca zaczną rozwozić po mieście zwyczajnych śmiertelników od dworca kolei Karola Ludwika, aż po plac gdzie mieści się Urząd cłowy, to jest do ostatnej ubikacji gdzie w tych stronach składają opłaty c. k. Rządowi. Dorożkarze i szewcy zaczynają już biadować na przyszłe gorsze czasy, kiedy to z powodu braku zarobku przyjdzie im wziąć się do tarcia drzewa i zamiatania ulic, dopóki zuów nie zaprowadzą jakich maszyn odbywających te funkcje porządku publicznego. Za to cała inteligencja, a szczególniej zwolennicy i zwolenniczki wszelkiego rodzaju zbliżania się, wiele sobie obiecują po tej ułatwiającej komunikacji w mieście. Świat zewnętrzny zawsze jest przykładem dla wewnętrzego; nie wątpimy zatem, że i serca i uczucia zaczną wędrować po szynach daleko szybciej, niż teraz chodząc w kaloszach i piechotą od domu do domu.

Dyrekcja kolei Karola Ludwika, jak się pokazuje, przybiera coraz więcej demokratycznego nastroju w swoich zarządzeniach. Wprowadzając oświetlenie elektryczne głównego dworca, tudzież drogi wiodącej do niego od Grodeckiej ulicy, chce wszystkich zbliżających się ku sobie zrobić jasno-oświeconemi. W obec takiego faktu, obniży się wartość wielu mających ten przywilej jasnego oświecenia, bo lada pachołek wstąpiwszy na tę drogę nawet bez intencji zostania Vervaltungsrathem, będzie się gratysowo pławił w jasnych promieniach głównego słońca panującego nad Zarządem kolei. Wszyscy usunięci z posad swych urzędnicy kolei Czerniowieckiej i Arcyksięcia Albrechta, również wiele rachują na tę przemianę oświetle-

nia. Najprzód, że ich nędzę daleko jaśniej można będzie zobaczyć, a powtóre, że i w głowach chlebodawców kolejowych musi się zrobić jaśniej, i że przy takiem świetle łatwiej im będzie domacać się własnego sumienia, które kaze im naprawić krzywdę współbraci jaką im z powodu zbyt lichego oświecenia patrjotyzmu polskiego uczynili.

Bale na cele publiczne ubrane w maskę wieczorków idą wciąż, a powiedziałbym płyną niepowstrzymaną falą po wszystkich miejscach, gdzie tylko da się tańczyć. Sprawozdawcy dziennikarscy opowiadając dzieje tych zabaw, już nie rachują osób pojedynczo ale na pary. Z tego powodu upoważnieni jesteśmy do wzniesienia protestacji ze strony poważnych mam i pap nie biorących udziału w tańcach, że kompletnie są pomijani w tem liczeniu, widocznie hulająca młodzież bierze ich za zera... Czy tylko będzie toż samo, przy żądaniu np. posagów? W tych czasach właśnie mieliśmy przeciwne temu zdarzenie, bo pewien młody jegomość nie mogąc zmusić takiego zera do wypłacenia sobie dwudziestu tysięcy guldenów, zniknął wsród weselnego orszaku, pozostawiwszy i narzeczoną i zaproszonych gości, a nawet zamówionego księdza do dawania ślubu, na lodzie. Wszyscy oburzali się na czyn taki młodego przesiębiorcy małżeńskich interesów, tylko sama panna pocieszyła się prędko, wyrozumiawszy, że lepiej iż stało się to przed ślubem, niż gdyby miało być po ślubie.

Jednym z zapowiedzianych balów, który ma wielkie szanse powodzenia, ma być bal na dochód szpitalika dziecinnego Śtej Zofii. Zakład ten zostający pod szczególniejszą opieką ks. Jadwigi Sapieżynej posiada rzeczywistą sympatję, Lwowian, jako oddający wielkie usługi tym biednym istotom pozbawionym wszelkich środków ratunku. Wiadomo, że procent śmiertelności dzieci jest sześć razy większy niż dorosłych, więc kiedy starsi mają tyle szpitali, dzieci ubogich rodziców po większej części dla braku środków kuracyjnych skazywane bywają na śmierć niechybną. Zakład więc kuracyjny tych drobnych istot staje się prawdziwem dobrodziejstwem dla miasta i godzien wszelkiego poparcia serc litościwych.

Na porządku dziennym artykułów dziennikarskich zawsze jeszcze jest dżuma moskiewska, a w ustach wszystkich owa Wetlanka nad Wołgą, o której przedtem nikt nie wiedział. Otóż donosimy czytelnikom naszym, że Wetlanka owa już spaloną została ze szczętem jak ongi Sodoma i Gomora, a rząd rosyjski donosząc, że w owej Wentlance choroba kompletnie ustała, choć raz powiedział szczerą prawdę.

LISTY Z KRAJU.

O stowarzyszaniu włościan.

Nie powiem nic nowego, ale powiem prawdę. Kraj nasz w czasie ery konstytucyjnej dopuścił się wielu, bardzo wielu błędów, które mu wyszły na szkodę, a które nie łatwe są do poprawienia. Ażeby tworzyć czy to ustawy krajowe, czy to statuta stowarzyszeń dla pewnych warstw społecznych, prócz różnostronnych nauk i wiadomości niezbędnie i koniecznie jest potrzebną świadomość dokładna terenu i stosunków, wśród których pewne dzieło organiczne ma być dokonane. U nas działo się inaczej—połowiczność na każdym kroku jest widoczną w karłowatych płodach myśli które swojego zadania nie dorosły. U nas ludzie stojący na świeczniku kraju dzielą się na dwie kategorje: jedni doktorowie przeróżnych fakultetów; profesorowie, literaci itp. czerpiący wiedzę tylko z książek i pism a patrzący jedynie przez teleskop na dworki szlacheckie, drogi gminne, szkółki, karczmy i na chaty włościańskie i ztąd ich cała pochodzi o takowych świadomość; drudzy — znów gospodarze, którzy mniej więcej wspólnie z ludem jednej doznają doli i jedne mają potrzeby, ale sprawy sobie z takowych zdać nie mogą lub nie chcą, do książki i pióra z małym wyjątkiem, czują wstręt nie przezwyciężony, a na zapytanie postawione któremu z nich: co cię boli? potrafią jedynie za Kowbasiukiem odpowiedzieć: „wsio mene bołyt." Nie dziw, że pierwsi z nich, *ex libris docti* imponując erudycją i wiedzą opracowywali projekta do wszystkich prawie ustaw na wzorach obcych, bez względu na odmienne w kraju stosunki, które zdaleka badając różnic prawie nie dostrzegli żadnych. Czemuż nikt im wówczas nie przytoczył świętych słów Krasińskiego: „To tylko prawdą może być dla narodu, co wypływa z jego historji, co wyrosło na jego polu jak zboże lub sośnina. Ktoby cukrową trzciną chciał Mazowsze zasadzić, byłby szalonym — nie mniej szalonym kto cudzemi politycznemi sposoby chce w Polsce działać, cukru z tego nie będzie!"...

Kraj nasz od lat kilkunastu nie zdobył się prawie na żadną oryginalną pracę organiczną tylko na tłómacznia i przeróbki; w ten sposób powstały: ustawa gminna, szkolna, polowa i wiele innych ustaw, z których głównie ten był chyba pożytek, że w swoim czasie spożytkowały znaczną ilość produktu fabryki Czerlańskiej. Już to co się tyczy najważniejszej dla nas ustawy gminnej, tego, że się tak wyrażę, fundamentu gmachu społecznego, słuszny możemy mieć żal do jej twórców, że do tej roboty nie użyli granitu i cementu ale opoki i gliny. Historja kiedyś ostro ich osądzi za to, że zerwali węzeł, który łączył dwory z chatami, że nieopatrznie jednym paragrafem, niby ostrego miecza zamachem rozcięli ten węzeł Gordyjski na dwoje; wyrządzili przez to narodowi ciężką i niepowrotną krzywdę. W kraju naszym pomiędzy dworem a chatą z małemi wyjątki istniał stosunek patrjarchalny; utrzymywać takowy jak najdłużej a przynajmniej do czasu wzmożenia się oświaty ludu, wypleniać wspomniane wyjątki, zaradzać nadarzającym się gorszącym wypadkom było zadaniem sejmu; zresztą działać cokolwiekbądź albo raczej nie działać nic w tej mierze, ale nigdy nie czynić rozdziału. To co się stało, było najgorszem z tego co się stać mogło. Głośne zdanie „naj tak bude jak buwało" przez jednego z najpoważniejszych posłów, wypowiedziane minionego roku w sejmie w innej sprawie, słusznie dałoby się zastosować do sprawy gminnej, ale już tylko jako *pium desiderium* nie mogące być urzeczywistnione. Przeszłość nie powraca czy to zła czy dobra. Można rodzinę pokłócić, można małżeństwo poróżnić, przyprowadzić do rozwodu, ale aby poróżnionych na nowo połączyć, zamącony spokój domowy powrócić, tego jeszcze prawie nie było wypadku. Lud nasz niby małoletnie dziecko zostawał pod ojcowską opieką dworów. Tradycyjnie z ojca i dziada, pomny, że ojców kości na jednym spoczywają cmentarzu, z całą ufnością w razie potrzeby udawał się kmiotek do dworu o poradę lub pomoc. Od czasu wejścia w życie ustawy gminnej wiele upłynęło wody i wiele się odmieniło. Sztucznie otworzone odrębne warunki, odmienność praw i interesów odgraniczyły dwór od chaty murem chińskim. Chłop nieporadny uczuł się naraz wobec dworu obcym, rozglądnął się za innemi doradzcami, którzy mu pochopnie oświadczyli gotowość do usług a jako swe pierwsze zadanie postanowili przepaść dzielącą dwór i chatę przemienić w nieprzebytą otchłań.

Do poczynienia niniejszych uwag skłonił mię obszerny artykuł w Dzienniku Polskim zamieszczony, projektujący zawiązywanie u nas kółek włościańskich. Nie mogę autorowi „kółek włościańskich" nieprzyznać najlepszych intencyj, ale stanowczo twierdzę, że nie zna stosunków naszych w kraju a zwłaszcza we wschodniej części Galicji, gdyż inaczej nie wnosiłby pomienionego projektu, który w podobnej formie nie tylko że byłby nie na czasie i niedowykonania, ale który choćby częściowo został urzeczywistnionym, zadałby krajowi niezawodną klęskę. Pragnąc omówić myśl stowarzyszania włościan, poruszyłem przedewszystkiem sprawę wadliwości ustawy gminnej, albowiem gmina jest niejako uświęcone tradycją i silniej nad paragrafy rodzinnemi związki ugruntowane naturalne prawo stowarzyszenia ludu. „Hromada to wełykij człowik" powiada włościanin. Gmina posiada publiczny charakter obywatelski, nadany ustawą. Wszelkie i jakiekolwiek spółki, stowarzyszenia, korporacje w stosunku do gminy pozostają w cieniu. Ażeby atoli gmina wedle naszego pojęcia, przy obecnych stosunkach mogła odpowiedzieć zadaniu, ażeby mogła wykonywać nadane jej ustawą prawa i obowiązki, winna koniecznie mieścić w swem łonie pewien zasób inteligencji i posiadać potrzebny fundusz do rozporządzenia. Nasi prawodawcy niestety tworząc ustawę gminną nie mieli uwagi na te conditio sine qua non, oddzielili od gmin obszary dworskie, przezco je ubezwładnili.

Nie podlega żadnej wątpliwości, że człowiek jedynie powodzeniem w pewnej czynności czy to przedsięwzięciu zachęca się do postępowania w podobnym kierunku; nasz włościanin, przy panującem rozprzężeniu gmin coraz bardziej wyrabia w sobie egoistyczną indywidualność, orze swój zagon przeznaczony do wspólnego ugoru, domaga się rozdziału gminnego pastwiska, wyrębuje co żywo drzewo z gminnego lasu; słowem, dąży na każdym kroku do kompletnego zrujnowania gminy; pytam się, czy ten włościanin zechce wziąć udział w kółku włościańskiem, które wedle jego pojęcia nie będzie niczem innem jak tylko gminą na nowe kopyto? Ażeby wreszcie pewne kółko lub stowarzyszenie mogło się zawiązać i z pożytkiem rozwijać, potrzebuje mieć poprzednio jasno określony cel; autor podaje jako takowy dla włościan „narady nad sprawami gospodarczemi i nauką." Mnie się zdaje, że podobny program jest niedostateczny i za ogólnikowy. Kółka włościańskie, za daną przez nas inicjatywą, mogłyby się może i zorganizować, ale wtedy dopiero, gdyby wystapili ludzie, którzy w swe ręce chwyciliby ster takowych, i pod płaszczykiem fanatyzmu propagowali wrogie nam tendencje polityczne, jak już tego mieliśmy przykłady, to byłby istotnie pewien program, a raczej, pewien kit łączący włościan w kółkach. Nicby nie pomogły zastrzeżenia autora, aby z kółek wykluczonemi były, polityka i socjalne sprawy, przyszłoby do tego niezawodnie, przysłowie powiada: nie wywołuj wilka z lasu. Kółka włościańskie mogłyby jedynie być

zawiązane w specjalnie określonym kierunku jako to: pszczelnictwo, sadownictwo, uprawa lnu i t. p. i to w tych tylko miejscowościach, gdzieby się znalazł człowiek nie tylko fachowy, ale posiadający dość dobrej woli i poświęcenia dla ludu. Dok. nast.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bronikowski St.* Emancypacja i równouprawnienie kobiety, 8ka, str. 279. Poznań. Cena 3.25.

— *Chociszewski J.* Polska Sybilla czyli zbiór objawień, proroctw i przepowiedni, 8ka, str, 280. Poznań. Cena 1.63 ct.

— *Gogol Mikołaj.* Martwe dusze. Powieść z ross. 8ka. str. 361. Poznań 1879. Cena 2.60 ct.

— *Gołda Ks. Andrzej.* Austrja i Polska, 8ka, str. 140. Kraków 1878. Cena 90 ct.

— *Masłowski W.* Dido, ostatni książe Swanecji. Powieść 8ka. str. 384. Lwów 1879. Cena 2.40 ct.

— *Pieśni weselne* dla młodzianów i drużbów w czasie aktu ślubnego z dodatkiem oracji piosnecczek i życzeń weselnych. Wydanie piąte 16ka, str. 64. Poznań 1879. 20 ct.

— *Tańce salonowe,* Praktyczny poradnik dla tańczących, ułożył Ar. Kl. 8ka, str. 115, Lwów 1879. Cena 80 ct.

— *Wężyk Franciszek.* Poezje z pośmiertnych rękopisów 3 tomy, 8ka, str. 406, 429, 338. Kraków 1879. Cena 6 złr.

— *Wilkońska P.* Prima Aprilis. Komedja w jednym akcie, 8ka, str. 27. Poznań 1879. Cena 40 ct.

— *Wilkońska P.* Dwa śluby powieść. — Próżność ukarana, powiastka, 8ka str. 82 Poznań 1879.

— *Wilczyński A.* Kłopoty starego komendanta, opowiadania tom drugi i trzeci, 8ka, str. 199, 272. Lwów 1879. Komplet tomów trzy 5.80 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Mowa* Ottona Hausnera, miana w parlamencie wiedeńskim dnia 24. stycznia, opuściła prasę nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie.

*** *Dziejów polskich* R. Reppla w tłumaczeniu polskiem Dr. Przyborowskiego, wyszedł z druku zeszyt IV.

*** *Dwutygodnika naukowego* poświęconego archeologji, historji i lingwistyce, opuścił prasę zeszyt III i zawiera: Wyroby ceramiczne przez T. Ziemięckiego, Recenzja: Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka przez M. Chylińskiego, Wiadomość o Mieczysławie I. z pisarzów arabskich, Posiedzenia akademji i towarzystw naukowych, Drobne wiadomości.

*** Redakcję *Strzechy ojczystej* objął p. Bronisław Komorowski.

*** *Ojciec zadżumionych* i *W Szwajcarji*, dwa arcydzieła Słowackiego ukazały się już po raz trzeci w taniem wydawnictwie Bibljoteki Mrówki.

*** W dalszym ciągu Bibljoteki Mrówki, oddane zostały do druku następujące poematy Juljusza Słowackiego: Żmija, Lambro, Arab, Mnich i Hugo.

*** Opuściły już prasę *Kłopoty starego komendanta* w nowem wydaniu illustrowanym przez Edwarda Błotnickiego. Amatorom dobrego humoru możemy polecić tę powieść, która jest prawdziwą perłą między humorystycznemi powieściami.

*** Autor „Kłopotów starego komendanta pan A. Wilczyński przygotował do druku nową trzy tomową serję *Fotografji społecznych.*

*** Profesor Br. Abakanowicz przygotował do druku nową swą pracę „O słońcu".

*** „Rocznik literacki 1878/9", obejmujący całoroczną bibljografję polską, wyszedł już z druku.

*** W tych dniach wyszedł z druku tom VII „Źródeł dziejowych," opracowanych przez prof. uniwersytetu warszawskiego p. A. Pawińskiego. Zawiera on „Dyarjusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich" jako przyczynek do Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta od r. 1566 do 1568. Dyarjusz poprzedzony jest historycznym wstępem, w którym p. Pawiński objaśnia tę ciekawą sprawę, która niemałe posiada znaczenie dla badaczy dziejów krajowych.

*** Przekład znakomitego trzytomowego dzieła Curtiusa „Historja Grecji" zapowiedziany został we Lwowie; dokona go tłumacz „Estetyki Lemckiego" p. Bronisław Zawadzki.

Przyswojenie słynnego dzieła Curtiusa oddawna gorąco było pożądane.

Odtąd posiadając w przekładach Mommsena i Curtiusa i szersza publiczność będzie miała możność dokładniej poznać dzieje rozwoju dwóch najważniejszych narodów starożytności tak ciekawy przedstawiających kontrast, a raczej tak się wzajemnie dopełniających w rozwoju cywilizacyjnym.

*** *Tygodnik Powszechny* rozpoczął drukować nową powieść J. I. Kraszewskiego „Ładny chłopiec".

P. Kazimierz Kaszewski w temże piśmie skreślił bardzo zajmujący życiorys ś. p. redaktora Mianowskiego.

P. Kasz... łączyła ze zmarłym przyjaźń i bliski, codzienny stosunek służbowy, jako zarządzającego kancelarją b. szkoły głównej, miał więc największą sposobność pochwycenia wielu wydatnych stron i rysów zgasłego męża.

*** W Wilnie wyszła rzecz pod tytułem „O własnych siłach"; obrazek to do którego treść zaczerpniętą została z powieści pani Garthner amerykanki.

*** W tych dniach opuściła prasę dwutomowa powieść Gustawa Arimard p. t. „Awanturnicy".

Jestto odbitka z *Tygodnika powszechnego.*

Rzecz zajmująca, starannie przełożona z francuskiego, wziętą została z życia emigrantów hiszpańskich.

*** Nakładem p. G. Senewalda wyjść ma wkrótce drugi tom „Hodowli kwiatów" Jankowskiego p. t. „Kwiaty naszych domów".

Tom pierwszy został prawie wyczerpany.

*** W Stanisławowie staraniem towarzystwa pedagogicznego przychodzi do skutku „Bursa imienia J. I. Kraszewskiego" dla uczącej się młodzieży. Na ten cel zebrało towarzystwo dotąd 2000 złr. Bursę postanowiono nazwać imieniem Kraszewskiego, w celu uczczenia 50letniej pracy Nestora literatury polskiej.

*** Towarzystwo Bursy Sądeckiej, które już od 8 lat istnieje w Nowym Sączu a w zeszłym roku ukonstytuowało się na podstawie nowego statutu, znacznie rozszerzyło swą działalność, jak rozesłane sprawozdanie jego dowodzi. Wydział powiększył liczbę konwiktorów z 18 na 24, którzy z funduszu pobierali utrzymanie. Z powodu wielkiej nędzy między młodzieżą szkolną, widział się Wydział do tego zmuszonym, chociaż dochody w tym roku nie powiększyły się, ale przeciwnie się zmniejszyły. Za to tem większą wdzięczność należy się tym instytucjom i osobom, które poparły Towarzystwo znacznemi datkami. Tak rada powiatowa sądecka zasiliła Towarzystwo kwotą 200 złr.; ks. kanonik Jurkowski ze Lwowa popiera je roczną kwotą 50 złr. Dochód roczny Towarzystwa wynosił 1512 złr. 24 ct., a rozchód 1309 złr. 95 ct. Fundusz żelazny wynosił 1803 złr. 12 ct.

*** Ks. Stojałowski ogłasza w *Gazecie Nar.* co następuje:

„Bursa włościańska rękodzielniczo-przemysłowa" już istnieje od jesieni z. r. we Lwowie, i znajduje się w niej obecnie już 8 chłopców, z których 2 uczy się szewstwa, 1 jest w handlu skór, 1 u zegarmistrza, 2 u stolarza, 2 uczy się w bursie introligatorstwa. Mieszkanie, stół i opiekę mają w bursie, a na naukę chodzą do majstrów lwowskich. Wprawiających się jest przeszło 15.

Ale i ten słaby początek się nie utrzyma, jeżeli nie znajdzie powszechnego poparcia i pomocy; jeżeli ci, których pięknie nazwano „starszą bracią ludu" w tej praktycznej i arcypotrzebnej sprawie ludowi nie pomogą — i osobistej a ograniczonej ofiarności nie poprą.

Dotychczas wpłynęło na bursę 98 złr. (!) a samo jej urządzenie, kilkomiesięczny czynsz i stół kosztowały więcej niż dwa razy tyle. Mam pewną nadzieję że każdy Polak rozumiejąc doniosłość zakładu mającego na celu podniesienie rękodzielnictwa i przemysłu między ludem wiejskim, i zapobieżenie choć w części jego ubóstwu i nędzy, zechce przyjść w pomoc rozpoczętemu dziełu i dobrowolną choć najmniejszą ofiarą przyczynić się do zabezpieczenia bytu i pomyślności „bursy włościańskiej."

Ks. Stanisław Stojałowski.

Nekrologja.

† Dnia 8. stycznia b. r. zmarł we Włoszech *Józef Mianowski* były rektor Szkoły Głównej Warszawskiej. Zmarły potrafił sobie zaskarbić serca ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej, która teraz spieszy z wynurzeniem swej czci i żalu po stracie jego.

† W Petersburgu zmarł w zeszłym tygodniu Hipolit Korzeniowski. Ś. p. Hipolit, syn znakomitego powieściopisarza Józefa Korzeniowskiego, urodził się w r. 1827 w Krzemieńcu. Ukończywszy rychło studja w uniwersytetach charkowskim i petersburgskim i otrzymawszy stopień doktora medycyny i chirurgji, puścił się w podróż za granicę. Tu na pierwszorzędnych uniwersytetach dopełnił skwapliwie swego medycznego wykształcenia W r. 1859 ogłosił pierwszą część swej „Anatomji ciała ludzkiego". Zostawszy adjunktem chirurgji operacyjnej przy szkole głównej warszawskiej i lekarzem ordynacyjnym szpitala Dzieciątka Jezus, poświęcił się wyłącznie chirurgji. Następnie powołany do Petersburga na profesora uniwersytetu, zyskał tam uznanie i wziętość. Na wykłady Korzeniowskiego, uczęszczano gromadnie w gronie bowiem studenckim cieszył się popularnością. W ostatniej wojnie wziął gorący udział w czynnościach do jego powołania należących. Przy urządzaniu służby zdrowia, obok Pirogowa niemałe oddał Korzeniowski zasługi. Kiedy widoki pokojowe nabierały co raz większego prawdopodobieństwa, Korzeniowski przeniósł się do Warszawy, zamierzając osiedlić się tam stale na resztę życia.

Wiadomości ekonomiczne.

*** Herbata w Czechach. Pewien gospodarz pod Tesznicami, w Czechach, próbował zaaklimatyzować na swym gruncie chińską herbatę. Próba w ostatnim roku wybornie się powiodła. Uzyskana z jesiennego zbioru herbata czeska ma być prawie tak samo aromatyczną i smaczną jak oryginalna.

*** Pszczolarze z Austrji i Niemiec będą mieli tegoroczny zjazd w Pradze w miesiącu wrześniu. Ze zjazdem połączoną będzie z arazem wystawa pszczolarska.

ROZMAITOŚCI.

*** *O dżumie,* panującej we wschodnich guberniach Rosji, są bardzo szczupłe wiadomości. Rząd carski, dla uspokojenia swych własnych poddanych i Europy, utrzymuje w tajemnicy rzeczywisty stan rzeczy. Ale zkądinąd donoszą, że zaraza pojawiła się już w penzeńskiej i kazańskiej gubernji. Że niebezpieczeństwo istnieje, najlepszym dowodem to, że rządy austrjacki i niemiecki rozpoczęły już rokowania nad obmyśleniem jednoczasowych środków zaradczych przeciw temu najstraszniejszemu ze wszystkich wrogów człowieka. — Dżuma już od 100 lat prawie nie znaną jest w Europie. Przezorność rządów europejskich zapobiegła jej rozszerzaniu się. Gdy jeszcze w r. 1815 pojawiła się dżuma w miasteczku Nola we Włoszech, natychmiast otoczono je silnym kordonem wojskowym i wykopano w koło niego głęboki rów, pozostawiając tylko jedno przejście, przez które dostarczano żywność mieszkańcom. Wszelkie zetknięcie z tymi mieszkańcami zakazane zostało pod karą śmierci, tak że gdy zdarzyło się, iż jeden z nich rzucił żołnierzowi przez rów talję kart, którą ten podjął, obydwa zostali natychmiast rozstrzelani. Gdy zaś zaraza ustała w Noli wskutek wymarcia wszystkich mieszkańców, miasto to zostało prawie całe spalone. Środki tego rodzaju są barbarzyńskie, ale są jedynie skuteczne, czego najlepszym dowodem jest fakt, że w r. 1815 zaraza nie posunęła się na krok jeden po za miasteczko Nolę. Jak zaś jest straszna dżuma, świadczą o tem następujące cyfry, które dzieje wieków przeszłych nam przekazały. W Wenecji zmarło na tę zarazę 1630 r. 100.000 ludzi, w małym wówczas Monachium 15.000, w Wiedniu w 1679 r. 70.000, w Marsylji w 1720 r. 50.000 itd. Cyfry te są najwymowniejszym argumentem za nieodzownością jak

najbardziej ostrych środków ostrożności, które obecnie powinny być tem ostrzejsze, niż w wiekach przeszłych, że ludność miast wzrosła co najmniej w czwórnasób i że koleje żelazne sprowadziły takie ułatwienie stosunków międzynarodowych, że przestrzenie niemal nie istnieją.

*** Dzieją się czasami rzeczy, które doprawdy są zdumiewające:

W sobotę w Warszawie na Tłomackiem do właściciela pewnej bawarji przyszedł przyjaciel jego i razem wyszli na modlitwę przedwieczorną.

W godzinę wrócili obydwa.

Po chwili odpoczynku przyjaciel ów zabierał się do odejścia do domu.

Wstał z krzesła i ruszył ku drzwiom.

Zaledwie jednak dwa kroki postąpił. pośliznął się i upadł z taką siłą, że złamał sobie lewą nogę w kolanie, przyczem złamana kość przedarła skórę.

Spadają nieraz ludzie ze schodów, wylatują z okien, a wypadki te mniej straszne pociągają za sobą skutki.

Przypomina nam to wypadek jakiego niegdyś byliśmy świadkami w Paryżu.

Na sławną kolumnę lipcową wzniesioną na placu Bastylii wszedł dorożkarz.

Życie mu już się sprzykrzyło.

Automedonem być nie chciał, postanowił więc kres położyć wszystkiemu i zeskoczyć z tej wysokości...

Zeskoczył więc...

Wtem wszyscy obecni przerażeni chwilowo parsknęli wielkim śmiechem.

Dorożkarz bowiem wstał zdrów, spojrzał na kolumnę, wsiadł na kozioł i pojechał dalej...

*** *Po amerykańsku.* Przed kilku tygodniami w Nowym Jorku odbył się obrząd ślubny 34-letniej pani Stivens-Morley, która wychodziła zamąż po raz... jedenasty !!! Na uczcie weselnej znajdowało się sześciu jegomościów, którzy kolejno mieli zaszczyt być już niegdyś mężami tej pani i po krótkiem z nią pożyciu, otrzymywali rozwody. Każdy z tych panów uważał za obowiązek przetańczyć kadryla ze swoją byłą żoną i życzyć młodej parze szczęścia w pożyciu... Życzenia te jednakowoż nie miały się sprawdzić, gdyż podczas uroczystości weselnej pan młody podochociwwszy sobie za wiele, wszczął kłótnię ze swą oblubienicą i... nowo zaślubieni postanowili niezwłocznie podać się o rozwód.

*** Mysia rodzina za... pięćset rubli.

Pewien chłop z pod Grójca miał zwyczaj przechowywać swe oszczędności w szklannym gąsiorku.

Oszczędności te doszły aż do pięciuset rubli.

Złożywszy tak ostatnie kilka rubli do improwizowanej ale nie ogniotrwałej kasy, włościanin zapomniał ją... zakorkować.

Cóż się jednak stało?

Oto gdy po pewnym czasie wieśniak zajrzał do swego skarbu, przekonał się z przerażeniem, że w gąsiorze założyły sobie gniazdo... myszy.

Zamiast papierowych pieniędzy, pięć wyhodowanych tam myszek pozostawiło tylko kupę potarganych strzępków.

W ten sposób odchowanie każdej z pociech mysiego rodu kosztowało włościanina okrągłą cyfrę po rs. sto.

Biedak przybył do Warszawy, ażeby się poradzić w swem nieszczęściu...

*** W tych dniach staruszka jakaś przyszła do jednej z aptek z receptą doktora, na której zaordynowane były dwa decygramy morfiny ze zwykłą przyprawą miałkiego cukru.

Subiekt aptekarski bierze najdelikatniejszą szalę i odważa lekarstwo skrupulatnie, ażeby przypadkiem nie pomylić się w dozie tego niebezpiecznego narkotynu.

— Wstydź się pan — mówi na to staruszka, trącając go w łokieć — nie bądźże tak skrupulatnym na wadze... to dla sieroty...

*** *Piszą nam z Ameryki:* Takiego mrozu jaki dokuczał przeszłego tygodnia nie mieliśmy w Ameryce już od roku 1873. Termometr wskazywał 3. bieżącego miesiąca aż do 30 stopni poniżej zera. Osobliwie atmosfera dziwnie działała tym razem, ponieważ gdy w St. Paul, Minn., zimno nie dochodziło 20 stopni, na południe od tego miejsca i w tym samym czasie było daleko zimniej, tak, że w Des-Moimes. Iowa było 29 stopni poniżej zera. W dniu tym zmarzło dwóch drożników na kolei żelaznej Central New Jersey & North Pensylwania. W Buffalo N. Y. 3 bm. były wszystkie handle i fabryki zamknięte z przyczyny wielkiego mrozu. Pociągi pasażerskie kursujące z New Yorku na zachód zostały wszystkie w dniu tym zatrzymane w Batawia, Niagara Falls i w Lockport. W Nort Buffalo Junction zostały 3 pociągi pakunkowe śniegiem zasypane. Idący pasażerski pociąg kolei żelaznej z New Yorku do Buffallo opóźnił się o cztery godziny, przyciągnąć go musiano 13 lokomotywami, a pociąg kolei żelaznej Syracuse N. Y. został również i to o północy zasypany, a ludzie zmuszeni byli ratować się ucieczką do pobliskich fermerów. W Chicago dochodziło 3 bm. zimno do 24 stopni, podczas którego kilkunastu ludzi zmarzło w różnych okolicach Ameryki, a co osobliwszego; że w Broklynie, pewna kobieta zamarzła z swem dzieckiem w łóżku.

*** Czytelnicy nasi nie wiedzą może, że zbieranie marek, którem się zapewne za lat młodych w szkołach trudnili, zyskało obecnie w Europie prawo obywatelstwa wśród dorosłych, a nawet bardzo poważnych ludzi.

Zbieranie marek traktowane jest tam przez wielu tak zupełnie jak numizmatyka, sfragistyka i t. d.

W Paryżu istnieje od roku 1875 towarzystwo markowe, prezesem którego jest baron Artur Rotszyld i liczące pomiędzy członkami wiele znakomitości ze świata naukowego, finansowego i artystycznego.

Towarzystwo to wydaje co kwartał tom sprawozdań, w którym oprócz tego znajdują się obszerniejsze prace i artykuły z dziedziny markomanji (*timbrologie*).

Obecnie też w rozmaitych państwach Europy i Ameryki wychodzi do 40 dzienników poświęconych markom.

Co się tyczy handlu markami, to ceny niektórych unikatów dochodzą do bajecznych sum.

Płacą za nie po 1.000 franków i wyżej.

W Tryeście, Hamburgu i innych miastach istnieją formalne giełdy marek.

Ogłaszają one w specjalnych biuletynach sprawozdania z dokonanych obrotów.

Na handlu markami robią się nawet niekiedy znaczne fortuny.

Przykład tego widzimy naprzykład na tak zwanym „królu markowym" Moens'ie z Brukseli, który na markach zyskał miljonowy majątek.

Pomiędzy słynnymi nawet w Europie markoznawcami znajdujemy też i naszych rodaków.

Jeden z nich p. Samuel Koprowski, obywatel ziemski w gubernji wołyńskiej a członek honorowy paryzkiego towarzystwa, otrzymał na konkursie markowym w Paryżu wielki medal srebrny za rozprawę napisaną na temat: „Marki w stosunku do historji krajów".

Pan K. napisał również dziełko o markach ziemskich rossyjskich, wydane w języku francuskim w Brukselli.

Skwapliwie przełożono je na język niemiecki i angielski.

Że zasłużoną ma w kołach markomanów renomę p. Koprowski dowodzi i to jeszcze, że gdy w lipcu r. z. odbył się w Paryżu podczas wystawy „kongres zbieraczy marek", pan K. zaproszony został na viceprezesa kongresu.

*** Losy dziennikarskie.

Korespondent paryski *Fanfulli*, dostawszy wypadkiem w ręce numer *Marsyljanki* wydany z powodu śmierci wiktora Noir z podpisem wszystkich jej redaktorów, zadał sobie pracę skonstatowania, co też obecnie z nimi się stało.

Przegląd to nie bez interesu dla czytelnika.

Henryk Rochefort kieruje dziś *Latarnią* z tym samym co dawniej sprytem nienawiścią i mściwością.

Artur Arnoud, jeden z przewódców komuny, schronił się do Genewy a teraz w *Revolution française* podpisuje polemiczne artykuły literami A. A.

Baxire jest sekretarzem Rappela.

Boursin dyryguje *Corespondence republicaine*.

Collast zmarł.

Claretie został pisarzem modnym i poszukiwanym W *Independance belgo* pomieścił „Le Mourement parisien" i dorobił się fortuny. Dziś mieszka w pięknej swej willi w Nizzy.

Dercure umarł w Nouméa, gdzie trudnił się... szewstwem.

Franciszek Eune jest sekretarzem dzisiejszej *Marsylianki*.

Gustaw Flourens został zabity w jednem z pierwszych zaburzeń komuny.

Paskal Grousset „minister spraw zagranicznych komuny" żyje z przyjaciółką w Londynie.

Karol Habeneck jest podprefektem... *en disponibilitè*.

Millière został zastrzelony przez wersalczyków. Człowiek wybitny. Był energicznym sekretarzem redakcji.

G. Puissant pracuje w *Latarni*; jego to artykuły podpisywane „*Un petit employé de la prefecture de police*" wywołały olbrzymi skandal ostatni.

Raul Rigaut, znany komunista, padł na ulicy Gay-Lussac.

Juliusz Vallés nie ustąpił poprzednikowi w zaciekłości.

Vermersch, bezwzględny komunista, teroryzujący mieszczaństwo, zmarł w Londynie w nędzy i osamotnieniu.

Dubuc, piastuje szpadę... komisarza policji.

I to wszystko po latach dziewięciu.

A za lat dziewięć?

BIAŁY RYCERZ

przez

ERNESTA DUBREUIL

przekład

Marji Jarmund.

Zaślepiony swoją potęgą, opętany przez szatana, rycerz zdradził króla, przyjaciel zdradził swego dobroczyńcę. Na sejmie w Moguncji, hrabia Ruthor złożył z tronu cesarza Henryka IV. Kiedy arcybiskup Kolonji zrywał płaszcz cesarski, hrabia rzucał się na niego i zdzierał mu koronę. Stary król zalany łzami wypędzony został z pałacu i obrzucony obelgami tych, których wyniósł do wysokich godności. Hrabia Ruthor kazał go zamknąć w zamku Ingielheim i wyniósł na tron jego syna pod imieniem Henryka V.

Od czasu tej nikczemności, datuje się przekleństwo, jakie cięży na naszej rodzinie.

— W kilka lat potem niewierny przyjaciel uległ strasznej i nieznanej chorobie i od ośmiu set lat najstarszy z rodziny umiera śmiercią gwałtowną przed skończeniem trzydziestu lat. Ani razu straszna kara nie kazała na siebie czekać. Krew niewinnej ofiary spadła na potomków zdrajcy.

Pan de Balmen zatrzymał się i potarł chustką czoło okryte zimnym potem.

Oficerowie milczeli, głęboko wzruszeni tem opowiadaniem.

Słychać było wśród nocy w oddaleniu huczące działa, z placu, które odpowiadały nieustannie artylerji nieprzyjacielskiej i od czasu kroki ciężkie patrolu, lub powtarzane przez warty „kto idzie?"

— Do licha! — zawołał kapitan wypuszczając z fajki ogromny kłąb dymu — wszystko to jest bardzo smutne dla pana i wasz hrabia Ruthor nie wiele był wart, ale w tem wszystkiem coś nam powiedział nic jeszcze nie dowodzi żebyś miał jutro wynosić się na tamten świat, cóż u djabła!

— Nie, z pewnością i gdybym tej nocy nie był widział rycerza...

— Rycerza? jakiego rycerza?

Młody więzień uśmiechnął się.

— Panowie jesteście ludźmi rozumnymi i dowcipnymi, lecz jesteście Francuzami, to znaczy sceptykami i pod waszem pięknem niebem nie wierzą wcale w ponure legendy niemieckie. Otóż w rodzinie Balmenów jest legenda przerażająca. Od czasu zdrady naszego przodka, każdy pierworodny z Balmenów widzi we śnie w wilię swej śmierci rycerza okrytego białą zbroją. Widmo podaje mu swój puklerz na którym spostrzega odbity w stali błyszczącej jak w zwierciadle rodzaj śmierci jaka go oczekuje. Tej nocy właśnie zaledwiem zasnął, kiedy usłyszałem kroki ciężkie wstrząsające wschodami prowadzącemi do mego pokoju. Drzwi się otworzyły i rycerz wszedł.

— Do tego pokoju gdzie jesteśmy? — zapytał pułkownik.

— Do tego pokoju. Usiadł w tym samym fotelu, gdzie ty siedzisz pułkowniku....

Pomimo całej odwagi pułkownik zadrżał, a kapitan fajkę upuścił.

— Podał mi powoli swój puklerz. Nie chciałem patrzeć; lecz pomimo woli czułem, że wzrok mój uporczywie zwraca się na żałobne zwierciadło. Wkrótce lekka mgła za-

słaniająca powierzchnię rozproszyła się i ujrzałem wierny obraz tego co wydarzy się jutro o tej samej godzinie. Ponieważ zaś podobna przepowiednia nigdy nas nie omyliła, chciałem panowie przepędzić ten ostatni wieczór z wami i pożegnać was na zawsze... Zdrowie młodej gwardji!

Wychylił całą szklankę duszkiem.

Ci wszyscy, słyszący tę dziwną historję, byli to ludzie, którzy z pewnością nie cofnęliby się przed ogniem dwudziestu baterji. Przyzwyczajeni żyć w pośród śmierci, widzieli ją bez obawy i narażali się na nią bez przechwałek, lecz bez strachu; a jednak ojciec mnie zaręczał, że ani jednego nie było, który by później mu się nie przyznał, że zadrżał w czasie opowiadania młodego jeńca.

— No, no, mój przyjacielu — wyrzekł mój ojciec — zapomnij o tych wszystkich szaleństwach. Miałeś zły sen i nic więcej. Dziś w nocy będziesz spać dobrze.

— Jutro jeszcze lepiej spodziewam się — odparł oficer.

Północ uderzyła w tej chwili.

Śnieg padał dużemi płatami i pomimo jasnego ognia płonącego w olbrzymim kominie, zimno nocne wciskało się do pokoju.

— Moi panowie — odezwał się pan de Balmen — musicie być zmęczeni. Jutro dzień będzie gorący, gdyż myślę, iż nas spróbują przypuścić powszechny atak. Musicie odpocząć... Dobranoc panom.

Oficerowie powstali usiłując na próżno ukryć wrażenie jakiego doznali. Wszyscy zbliżyli się do biednego więźnia, ażeby mu rękę uścisnąć, po chwili nikogo już nie było w pokoju.

Wyszedłszy na ulicę pułkownik zatrzymał się i spoglądając na swoich towarzyszy powiedział:

— Czy myślicie panowie rzeczywiście, że pan de Balmen mówił to wszystko w dobrej wierze.

— Jestem przekonany o tem — odpowiedział mój ojciec.

— I ja także — dodał kapitan.

— Zdaje nam się, że zupełnie jest szczerym — wtrącili inni.

— Bardzo dobrze. Zatem pan de Balmen jest całkowicie pod wpływem przywidzenia, które mogłoby mieć dla niego nadzwyczajnie szkodliwe skutki. A ponieważ to jest człowiek którego lubimy i szanujemy wszyscy, musimy więc jutro tak czuwać nad nim, żeby ani na chwilę sam nie pozostał, a szczególniej żeby nie mógł się usunąć z pod naszej straży, wykonywanej ściśle, lecz w taki sposób, aby on się tego domyśleć nie potrafił.

— Bardzo dobrze — potwierdził kapitan.

— Szczególniej wieczór trzeba go nie opuszczać — dorzucił mój ojciec.

— Wieczór zaprowadzimy go z sobą do teatru. Pozostanie tam, aż do wybicia jedenastej. Jenerał Rapp kazał pobić blachą dach po nad salą i bomba zje licha jeśli potrafi dostać się do niego.

— To doskonała myśl, pułkowniku.

— Gdy przejdzie jedynasta, to podług jego przekonania nie będzie już niebezpieczeństwa, nieprawdaż?

— Niezawodnie.

— I uwolnimy poczciwego chłopca od bardzo przykrego uczucia, a zarazem wyleczymy go na zawsze z podobnych szaleństw. A zresztą... przychodzi mi na myśl jeszcze jeden sposób, który mi się złym nie wydaje. Zatem do jutra panowie i dobranoc.

— Dobranoc, pułkowniku.

Każdy powrócił do swojej kwatery, oprócz pułkownika, który rozłączywszy się ze swoim sztabem, przeszedł przez plac idąc szybkiemi krokami zagłębił się w małą uliczkę. Przybywszy przed dom dosyć nędznego pozoru, zastukał trzy razy do drzwi, pierwszy raz cicho, drugi trochę mocniej, a trzeci już bardzo silnie.

Za trzeciem uderzeniem wlokące kroki dały się słyszeć i drżący głos szepnął po niemiecku.

— Kto tam?

— Pułkownik strzelców gwardji!

— Jezus! Marja! czy to podobna!

— No otwórz twój lufcik ośle i popatrz!

Lufcik skrzypnął i po za drzwiami ukazała się wystraszona głowa.

— No i cóż!... poznajesz mnie?

— Tak, pułkowniku.

Drzwi otworzyły się i pułkownik wszedł.

— Czy to ty jesteś zawsze dzwonnikiem w ratuszu?

— Tak, pułkowniku.

— No to masz tu dwadzieścia pięć napoleonów dla siebie.

— Mein Gott!... jakże ja na nie zarobię?

— Pójdziesz do zegara natychmiast i cofniesz wskazówki o kwadrans, czy słyszysz? o kwadrans.

— Ale pułkowniku...

— Rozkaz jenerała główno dowodzącego.

— To co innego pułkowniku, będę posłusznym. Stracę tylko tyle czasu, ile potrzeba na wzięcie płaszcza i labartu.

— Idź i spraw się prędko. A szczególniej nie wspominaj o tem ani słówka nikomu. Idzie o twoją głowę.

Dzwonnik ukłonił się i pułkownik odszedł zacierając sobie ręce.

— W ten sposób — mruknął — gdy jedenasta wybije w rzeczywistości będzie kwadrans na dwónastą, a ponieważ, pan de Balmen zreguluje zpewnością swój zegarek podług zegara ratuszowego, który się znajduje w pobliżu jego mieszkania, i że będzie siedzieć z nami w teatrze dobrze osłonięty przed kulami swoich rodaków, zatem nie ma się co obawiać tej strasznej godziny, ani tego zuchwałego, djabelskiego rycerza, co się ośmielił zasiąść na fotelu pułkownika gwardji.

I zacny żołnierz powrócił do siebie, położył się i spał bez przerwy do samego rana. Gdy dzień zaświtał, pułkownik zawołał swego służącego.

— Piotrze!

— Pułkowniku?

— Weź mój zegarek.

— Tak mój pułkowniku.

— Nastawiłeś go wczoraj podług zegara miejskiego?

— Tak, mój pułkowniku.

— No to idź teraz zobaczyć czy idzie dobrze.

— Tak mój pułkowniku.

Jak widać Piotr był wzorem milczących ordynansów. „Tak mój pułkowniku, nie mój pułkowniku,“ stanowiło cały jego słownik. Wziął zegarek i wyszedł.

Pułkownik uśmiechał się pod wąsem.

Po kwandransie zaskrobał ktoś do drzwi.

— Czy to ty Piotrze?

— Tak, mój pułkowniku.

— Wejdźże ośle.

— Tak, mój pułkowniku.

— No i cóż?

— To mój pułkowniku, że ten zegarek jest sławnym klepakiem.

— Ba! jakże to?

— Wczoraj go nastawiłem podług właściwej godziny.

— A teraz?

— A teraz, dziś rano idzie za prędko o kwandrans.

Dzwonnik zarobił swoje dwadzieścia pięć napoleonów. Pułkownik wyskoczył z łóżka wesoły jak ptaszek. Pan de Balmen był ocalony!

Ponieważ pułkownik nie był tego dnia na służbie, a nieprzyjaciel pomimo przeciwnych przewidywań młodego cudzoziemca miał, zdawało się, zamiar pozostać spokojnym, zatem zacny oficer ustroiwszy się w łyżwy poszedł przez cały dzień kreślić swoje imie i ósemki na Wiśle zamarzniętej w owym czasie na całej szerokości.

Mój ojciec wraz z kilku przyjaciółmi pozostali przy panu Balmen starając się o ile możności wybić mu z pamięci ponury sen.

Nadeszła noc.

Pułkownik zaprosił do siebie na objad wszystkich swoich oficerów i młodego jeńca wraz z nimi. Powodem tej rozrzutności był nieszczęśliwy kot, z którego pozostała już tylko skóra i kości, znaleziony przez Piotra w piwnicy, schwytany i uduszony.

Wiadomość o tem odkryciu szybko się rozeszła i nabrała rozgłosu. Koledzy pułkownika nie ustawali się rozwodzić głośno nad szczęściem osobliwszem jakie mu sprzyjało, oni bowiem od ośmiu już dni musieli poprzestawać wyłącznie na myszach.

Po obiedzie, na którym pan de Balmen był bardzo wesołym i ożywionym, wszyscy udali się na przedstawienie. Grano „Cyrulika sewilskiego“ i młody oficer śmiał się wraz z innymi z żarcików Figara.

Oficerowie spoglądali na siebie z zadziwieniem.

— Nic innego, żartował sobie z nas, myśleli.

Pułkownik od czasu do czasu wyciągał zegarek. Nagle odezwał się do więźnia patrząc na niego uważnie.

— U mnie jest wpół do jedynastej a u pana jak?

— U mnie toż samo — rzekł pan de Balmen wyciągając także swój zegarek.

Pułkownik ukrył radośne poruszenie.

— I to zawsze na jedynastą drogi przyjacielu? — powiedział żartobliwie.

— Zawsze, kochany pułkowniku — odpowiedział więzień.

— A no! on mnie zawsze bierze za głupca — mruknął pułkownik na stronie. — Zresztą będziemy widzieć.

O jedynastej bez pięciu minut czwarty akt się kończył.

Położenie było naprężone. Młodszy oficer był bledszy niż kiedykolwiek, lecz uśmiechał się ciągle.

Udano się do bufetu. Po chwili mimowolnym ruchem, ojciec mój, pułkownik i inni oficerowie wydobyli zegarki. Z wszystkich ust wydobył się jeden tylko okrzyk.

— Jedynasta godzina!

— Pięć minut na dwónastą.

— Kwandrans na dwónastą!

— Ah! mój drogi hrabio! jesteś ocalony!

— Przepraszam panów — wyrzekł tenże łagodnie. — Nie poradziłem się mego zegarka, a w nim jednym mam tylko zaufanie.

Włożył rękę do kieszonki i wyciągnął go powoli. Była chwila nieopisanego wzruszenia.

Gdy oczy jego zatrzymały się na wskazówkach, gorący strumień krwi oblał mu twarz jakby płomieniem.

— No i cóż! — zapytali chciwie otaczający go.

— Nie miałem słuszności, panowie, przepraszam was. Dwie minuty na dwónastą.

Radość wszystkich tych młodych ludzi wybuchnęła wtedy głośna i niepohamowana. Każdy szukał jego rąk żeby je uścisnąć, pułkownik go całował, mój ojciec miał łzy w oczach, a stary kapitan padł na sofę w salonie.

— Dziś wieczór, drogi panie de Balmen — rzekł wreszcie pułkownik — to ja częstuję ponczem i przyrzekam ci, że będzie weselszym niż wczoraj. Panowie zapraszam was. Chodźmy! Po czterech w kolumnie i naprzód!

Dla dojścia do pułkownika trzeba było przejść przez plac Teatralny. Kanonada trwała tak jak każdej nocy pomiędzy nieprzyjacielem a placem. Blask rakiet i bomb rozjaśniał niebo.

Młodzi ludzie szli wesoło naprzód. Pułkownik, pan de Balmen, mój ojciec i kapitan o kilka kroków z tyłu. Nagle bomba pękła w powietrzu.

— Tam do djabła — wymówił pułkownik śmiejąc się — co za zły towar mają wasi rodacy, mój drogi Balmen!

Nie dokończył swego zdania gdy okrzyk trwogi dał się słyszeć na placu. Ognista linja opisywała półkole ponad grupą oficerów i straszny pocisk spadając jak piorun padł na głowę hrabiego de Balmen przygniatając go deszczem żelaza i ognia.

W tej chwili właśnie pierwsze uderzenie godziny jedynastej dzwoniło na ratuszu. . . . .

. . . .

Oto co się wydarzyło.

Jenerał Rapp miał doskonały chronometr. Wystawiwszy głowę przez okienko — mieszkał on naprzeciw ratusza — spostrzegł różnicę jaka miała miejsce pomiędzy jego zegarkiem a miejskim zegarem. Natychmiast też wezwał swego adjutanta.

— Zegar ten idzie całkiem koślawo, mój panie. Spóźnia się o cały kwandrans. Mój zegarek idzie dobrze. Trzeba poszukać dzwonnika, niech posunie wskazówki, bo inaczej w dziesięć minut każę go rozstrzelać.

Dzwonnik nie kazał się długo prosić, i nastawił zegar na właściwą godzinę, dziwiąc się jednak częstej zmianie humoru jenerała, który kolejno kazał to cofać to posuwać wskazówki.

Biały rycerz miał słuszność.

Treść Nr. 2.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Józef Laskownicki.